

#415 • LISTOPAD 2025



INFORMATOR

GDĄŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



YARKOS.2025

O DWÓCH NIETYPOWYCH (I FANTASTYCZNYCH!) KRYMINAŁACH

Tydzień przed Nordconem jakoś nie mam specjalnego pomysłu/tematu (w numerze grudniowo-styczniowym będzie zupełnie inaczej!), więc pozwolę sobie na miniremanent filmowy.

Niedawno w telewizji obejrzałem (wreszcie!) *Batmana* Matta Revesa (2022). W kinach niestety mi uciekł. Pamiętam, że na ekrany wchodził wtedy, kiedy byłem na delegacji w Olsztynie. Gdy po pierwszym dniu szkolenia wyszedłem sobie na spacer w kierunku rynku i zamku – po drodze minąłem galerię handlową z multiplexem. Na tym budynku wisiał ogromny baner z Robertem Pattisonem w stroju Człowieka-Nietoperza. Chciałem nawet kupić bilet; ale okazało się, że premiera będzie dopiero nazajutrz. A szkolenie trwało w czwartek–piątek – i po przeprowadzonych zajęciach wracałem prosto do domu. Potem zaś w „Informatorze” ukazała się nader krytyczna (tym samym mocno zniechęcająca) recenzja Bazyła...

W dużym stopniu zgadzam się zresztą z naszym redakcyjnym ekspertem od analizy fabuł. Szczególnie trudno było zaakceptować to, na co przede wszystkim zwrócił uwagę Artur: scenarzyści uczynili z *Batmana* kogoś w rodzaju detektywa. Relacja *Batmana* z komisarzem Gordonem w filmach Tima Burtona była, o ile dobrze pamiętam, ledwo zasygnalizowana: Gordon zakazywał swym ludziom strzelania do *Batmana* oraz uważnie przyglądał się jego poczynaniom. Najciekawiej było to jednak ukazane w trylogii Christophera Nolana: owa więź nieskorumpowanego gliniarza i mrocznego rycerza była nader mocna i bliska – ale mimo tego nieoficjalna i dyskretna. Natomiast w filmie Matta Revesa komisarz Gordon traktuje swego zamaskowanego przyjaciela jak kogoś w rodzaju nieformalnego konsultanta – prawie oficjalnie przyprowadza go na miejsca przestępstwa; i to w trakcie pracy ekipy dochodzeniowej. Gary Oldman w roli Jamesa Gordona był niedościgniony (to aktor potrafiący równie przekonująco zagrać skończonego psychopata, jak też porządnego człowieka). Tu natomiast pozytywnym zaskoczeniem okazał się Robert Pattison jako Bruce Wayne – zamknięty w sobie (w tej wersji wyjątkowo mocno!) miliarder z traumą z dzieciństwa. Zresztą owo zaskoczenie było pozytywne, ale nie totalne: gwiazdor sagi *Zmierzch* już nieraz udowodnił swój talent aktorski, patronując chociażby samemu Willemowi Dafoe w *Lighthouse* Roberta Eggersa. Dające do myślenia było też to, co powiedział mu pod koniec filmu *Człowiek-Zagadka*: że co innego zostać (nawet w dramatycznych okolicznościach!) sierotą – pozostawszy nadal otoczonym opieką i luksusami dziedzicem fortuny, a co innego być sierotą totalnym („prawdziwym”) – z doświadczeniem sierocińca i najrozmaitszego niedostatku. Ciekawie została tu też pokazana Kobieta Kot (zresztą Catwoman i jej relacja z *Batmanem* była równie interesująca – i każdorazowo inna! – w obydwóch poprzednich wersjach kinowych). Największym jednak zaskoczeniem był, nierozpoznawalny pod całkowicie zmieniającą go charakteryzacją, Colin Farrell! Nie dziwię się, że jego Pingwin doczekał się serialowego spin-offu. Mimo tych paru pozytywnych spostrzeżeń – jednak nie kupuję tej wersji: bliższe mi są filmy Burtona i Nolana. A ponoć planowane są dwie dalsze części. Ale z kolei syn koleżanki z pracy – inteligentny i zdolny maturzysta – uważa właśnie wersję Revesa za najlepszą. Różnica pokoleniowa?

Dla wszystkich pokoleń był natomiast przeznaczony animowany *Zwierzogród* Byrona Howada i Richa Moore’a (2016). Była to bowiem zarówno świetna komedia (zwierzęcy klub nudystów!), jak też rasowy kryminał (z podwójną pointą!). Mimo faktu, że mieliśmy do czynienia z animacją – film o policjantce Judy Hops i hmmm... detektywie Nicku Bajerze można spokojnie zaliczyć w poczet najpopularniejszych hollywoodzkich filmów o niezbyt dobranych partnerach prowadzących wspólne śledztwo. Dlatego z wielką ciekawością (oraz z lekką obawą) myślę o wybraniu się na drugą część do kina...

Myślę też o obejrzeniu laureata tegorocznego festiwalu gdyńskiego – *Ministrantów* Piotra Domańskiego; na *Dom* dobrego Wojciecha Smarzowskiego nie miałem odwagi pójść.

Na razie zaś życzę Wam – w imieniu swoim i całej redakcji – serdecznie i fantastycznie spokojnych Świąt Bożego Narodzenia, szczęśliwego Nowego Roku!

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#415 • LISTOPAD 2025

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Z życia GKF-u

Artur Łukasiewicz

Głędźba Bazyla...

Damian Filipkowski

Komplementy

Adam Cetnerowski

Bez tytułu (II) – Priorytety

#Nie tylko barbarzyńcy – Olga Niziołek

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

LITERATURA

Krzysztof Dąbrowski

Drabble

Yorick

Kup trupa

PUBLICYSTYKA

Krzysztof Szkułatowski

Nowy Jork–Gdańsk–Wrzeszcz...

Filatelistyka w świecie fantazji

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 166

Michał Bleja

Wolniej – a ciekawiej

Artur Łukasiewicz

Predator: Badlands – upupianie legendy...

Tomasz Magulski

Wciąż bardziej obcy

Azjatycka niespodzianka

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Jan Plata-Przechlewski

Wycieczka na lata (światne)

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

4 **ADRES:**
80-389 GDAŃSK
6 UL. ŚLĄSKA 66B

11 **STRONA:** GKF.ORG.PL
FACEBOOK: GKF.ORG.PL/FB
DISCORD: GKF.ORG.PL/DISCORD

13 **KONTO BANKOWE:**
14 VOLKSWAGEN BANK
42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

KRS: 0000098018

24 **„INFORMATOR GKF”**
ISSN 1505-8476
27 WYDAWNICTWO BEZPŁATNE
NAKŁAD 120

32 **REDAKCJA:**
JAN PLATA-PRZECHELEWSKI
GRZEGORZ SZCZEPANIAK
36 MARCIN SZKLARSKI
JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)
43 ARTUR ŁUKASIEWICZ
MICHAŁ BLEJA

STAŁA WSPÓŁPRACA:
ADAM CETNEROWSKI
19 JANUSZ PISZCZEK
33 ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
TOMASZ MAGULSKI
38 ALEKSANDRA MAŁAJ
ADAM MATEJA
DAMIAN FILIPKOWSKI
42 ALEKSANDRA MARKOWSKA
MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOŚ
44 (NAZ)

E-MAIL:
48 INFORMATOR@GKF.ORG.PL

50 **OKŁADKA:**
JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

53 **DRUK:**
PRINT GROUP SP. Z O.O.
HTTP://PRINTGROUP.PL

55

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

11 LISTOPADA 2025 R.

I. Sprawy organizacyjne

1. Zarząd omówił ogólne wymagania obowiązujące organizacje pożytku publicznego, w tym obowiązek sporządzania sprawozdań merytorycznych oraz ich publikacji na stronie internetowej organizacji.
2. Zarząd przeprowadził dyskusję na temat standardów ochrony małoletnich w GKF oraz zasad wynikających z przepisów RODO. Podkreślono potrzebę opracowania polityki prywatności oraz stworzenia rejestru przetwarzanych danych osobowych.
3. Zarząd omówił najważniejsze kwestie związane z wolontariatem, w tym zasady współpracy z wolontariuszami oraz możliwości rozwoju tej formy wsparcia działalności GKF.
4. Zarząd omówił potrzebę utworzenia księgi identyfikacji wizualnej GKF, obejmującej m.in. ujednolicenie logo oraz stworzenie wzorów wizytówek, ulotek, plakatów i prezentacji. Podjęto także dyskusję nad przygotowaniem albumu prezentującego historię GKF.

Na tym posiedzenie zakończono.

KLUBOWY LISTOPAD

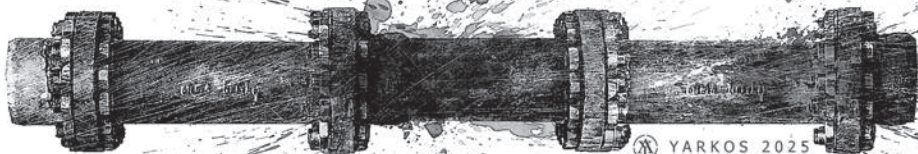
- 7 XI Warhammer Fantasy w konwencji Open Gaming
- 9 XI RPG „Next Generation”
- 16 XI Kostiumatornia – spotkanie craftowo-cosplayowe
- 22 XI Planszówkarium – cykl wydarzeń dofinansowany ze środków Miasta Gdańska
- 28 XI Dyskusyjny Klub Książki – *Szeptucha* Katarzyny Bereniki Miszczuk
- 29 XI Intrygarium: Krew na Wieży Zegarowej – dla fanów Blood on the Clocktower

Środowe spotkania klubowe – 17:00–20:00

Mahjong: nauka i granie – wtorki 17:00–21:00

UWAGA: w czasie trwania Nordconu (2–7 grudnia) klub będzie nieczynny!

Zainteresowanych bliższymi szczegółami oraz następnymi wydarzeniami – zapraszamy na klubowy Discord i Facebook!



OGAN *Myśli nieSForne*

Po raz kolejny nasz miłościwie panujący Zarząd zaskoczył mnie niemiło – tym razem ankietą na temat recepcji „Informatora GKF” skierowaną do członków naszego stowarzyszenia. Nie żebym się uważał za nieomylnego i niezastąpionego, ale jako Szef Działu Wydawniczego, mianowany przecież przez Zarząd, powinienem się o tej inicjatywie dowiedzieć choć chwilkę przed tym, nim maile z pytaniami zostaną rozesłane do adresatów. Oczywiście zlekceważyłem tę prowokację – również i z tego powodu, że uważam dzisiejszy kształt naszego klubowego magazynu za optymalny, co zresztą potwierdza fakt nominowania go do nagrody Euroconu w kategorii czasopism profesjonalnych. Niemniej, jeśli z ankiet wyjdzie, że się członkom klubu nasza wersja „Informatora” nie podoba – z dziką radością oddam jego stery nowej ekipie i będę co miesiąc rozliczał z postępów jej pracy (chyba że i mnie się ze sprawowanej funkcji zwolni – to wtedy już nie). A bardziej serio, parafrazując prezydenta Kennedy’ego, nie chodzi przecież o to, co „Informator” może jeszcze zrobić dla Was, ale co Wy – drogie siostry i bracia w giekaefie – możecie zrobić dla swojego biuletynu. Ostatni numer był już tak gruby, że nie tylko nie udało nam się go na czas osadzić na stronie (tu główną rolę odegrała kolizja z datą dostarczenia do drukarni plików biuletynu nordconowskiego, która wstrzymała na dobre półtora tygodnia skład miesięcznika), ale i wysłać go w sensownym terminie do druku (nasza korektorka została zasypana taką lawiną zleceń, że dla roboty *pro bono* po prostu zabrakło jej czasu). Jeśli więc znajdują się wśród Was osoby, które są w stanie wesprzeć nasz zespół od strony technicznej (redakcja, korekta, opracowanie graficzne, wykonywanie ilustracji) – zapraszamy do współpracy. Nie wyrzucimy też nikogo, kto będzie przynosił nam swoje teksty i obrazy (byle nie były wygenerowane przez sztuczną inteligencję – używajcie własnej!). Odmłodzenie szeregów naszego, mocno już seniorskiego, kolegium redakcyjnego to jednak nie zachcianka, ale wymóg niezbędny dla dalszego rozwoju „Informatora GKF” – ku numerom 500, 1000 i następny. Być może zbierze się i taki kolektyw, który będzie w stanie wydawać 12 numerów w roku (koleżanki i koledzy z mojej pracy, na widok coraz grubszych numerów „Informatora”, żartują, że powinniśmy wydawać dwutygodnik; kto wie, może i do tego kiedyś dojdzie), czego sobie i Wam, z okazji nadchodzących Świąt, życzę! ■



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



YARKOS 2025

ARTUR ŁUKASIEWICZ

GŁĘDŻBA BAZYLA – CZYLI GDAŃSKI KLUB BARDZO MAŁEJ FANTASTYKI

Wiecie, że żeby się zebrać i to napisać – musiałem wrócić do źródła. Zapytać siebie samego, czym jest dla mnie GKF; a właściwie, czym był kiedyś – wtedy, kiedy nie mogłem się doczekać kolejnej środy czy soboty, by pójść na spotkanie.

Dobra. Na początku byłem, jak każdy, oglądaczem. Ale z racji czasów, w których żyłem, byłem głodny fantastyki. W każdej formule (komiksie, filmie, kolejnym fanzinie), która się pojawiała w klubie. Możliwość pomocy w zorganizowaniu jakiejś imprezy oraz fakt, że jest ktoś, kto chce mi „zasponsorować” wyjazd do innego miasta na konwent, choćby był to tylko zwrot kosztów podróży – były dla mnie olbrzymią motywacją.

Ale najważniejsze były zawsze książki. Ich brak w księgarniach zastępowały wypożyczone z klubu „klubówki” – nielegalne tłumaczenia książek uznanych autorów, z kserowanymi okładkami. I oczywiście istniał swoisty handel wymienny. Ty masz coś Dicka, a ja w zamian dam ci Conana. A jeszcze lepiej, jak ktoś okazyjnie nabył kilka egzemplarzy poszukiwanej przez wszystkich książki i gotów jest sprzedać go współodczuwającym w cenie – uwaga! – takiej, jaka widnieje na okładce (w ten choćby sposób stałem się właścicielem dwutomowego, pierwszego wydania *Diuny* Franka Herberta) – to byłem już w Raju!

Tak; ale to były dawne, siermiężne i trudne czasy.

Później, kiedy już każdy miał w domu magnetowid, a w sklepach można było kupić kasety wideo po przystępnych cenach, klubowa wypożyczalnia kaset padła.

A potem pojawiło się DVD. No żyć – nie umierać.

Zamiast oglądaczy – pojawili się „gracze”. Na razie RPG.

Byli tacy, co narzekali: „Oni tylko grają i klub ich w ogóle nie interesuje”. Chociaż wtedy jeszcze istniała jakaś wspólnota. Istniały tematy do przegadania. Czasem pierdoły; ale skoro nie było już wspólnoty rzeczy materialnych – została kwestia duchowa. Konwentowe i klubowe ploty. Ruch w wydawnictwach i pisarski natłok myśli. Każdy chciał coś robić, wydawać, pisać, ostatecznie robić „za ogon” wśród mądrzejszych – po to, by się czegoś dowiedzieć.

Czas pojawienia się pierwszych karcianek był jednocześnie szalony, a z drugiej zgubny. Teraz to już „wsiaćko” właściwie trzy czwarte klubu. Jeszcze trzymały się bastiony literackie, konwentowe, filmowe – ale i one kruszały.

A ja?

Próbowałem grać. Przyznaję bez bicia: umierałem z nudów. W ogóle mnie nie ciągnęło.

Nie, nie twierdzę że gry to zło. Po prostu jestem skrzywiony genetycznie. Ważniejsze jest dla mnie słowo niż turlanie kulek i LARP-y.

Może nie dorosłem, albo to przyszło w moim wypadku za późno i byłem już za stary. Tak, spoglądam na graczy w klubie – i widzę samą młodość. Dzisiejsze średniolatki, których pamiętam sprzed dziesięciu lat jako nieletnie małolaty, dziś sterują klubem – i też grają. Mają farta, bo ich to wciągnęło. Ale oni mieli już za sobą eksperymentalne początki RPG i pewną wprawę.

I gdzieś tam niepostrzeżenie pojawiły się gry planszowe. I teraz – to już nikt nie podskoczy. Choć autor pamięta czasy, gdy fandom gier planszowych i innych to była odrębna bajka. Dziś najstarszy tego typu klub, który sam w sobie był legendą z lat 70., musi oprócz szachów, warcabów, brydża i setek innych gier posiłkować się LARP-em, karciankami i RPG-ami.

Zabawne: niedawno na spotkaniu zaprzyjźnionego ze mną klubu KMF Sagitta pojawiło się narzekanie: *No, my to przynajmniej tworzymy jakieś niepowtarzalne fabuły, a ci od planszówek tylko mieszają kostkami. Albo ci od mangi – nawet nie wiedzą, w jaki strój się włożyli; po prostu kupili go sobie z katalogu – bo im się podobał.* Tyle. Historia? Koło? Jakoś tak.

Westchnięcie – no, takie czasy...

Dziś książki są powszechnie dostępne: jakie chcesz i w ilości, jakiej chcesz – zarówno w księgarni, jak też w aplikacjach, w formie papierowej, komputerowej czy audiobookowej. I wcale nie trzeba korzystać z klubowej biblioteki.

Filmy? Kilkadziesiąt kanałów telewizyjnych, w których zawsze można trafić coś, czego albo nie widziałeś albo akurat chcesz sobie przypomnieć. Nie ma problemu. Zawsze coś się znajdzie.

Dodatkowo kilka portali strumieniowych, które oferują ci rzeczy starsze i nowsze w takiej ilości, że nie jesteś w stanie ogarnąć choćby części tego kontentu. Wiem, bo przecież grzebię w zapowiedziach i widzę.

Ostatecznie nawet YouTube ogarnia już legalnie puszczane filmy...

Argument, by zdobywać książki czy oglądać filmy wspólnie, nie zawsze jest trafiony. Trzeba przejechać pół miasta, by się do klubu dostać – a potem równie długo wracać.

W klubie jest biblioteka – nie muszę, nie korzystam. Mam co czytać i słuchać na lata.

Jest w klubie rzutnik i możliwość oglądania filmów lub robienia prezentacji. Tylko – że nie ma dla kogo.

A poza tym – paru ciekawych ludzi odeszło; bo rodzina, życie, bo zmiana pasji. Niektórzy egzystują gdzieś na głębokich tyłach klubu, a jeden klub nawet – choć niby jest – to jakby zaginął bez wieści. Bo podobno jest, ale nikt go już dawno nie widział (Angmar), drugi zaś jest niczym masońska loża – coś, gdzieś, kajś słyszano o nim; ale nawet nasz Drogi Prezes, z racji niewtajemniczenia, nie ma do niego dostępu. A jako prezes powinien przynajmniej się orientować, co się tam dzieje (First Generation).

Nie, nie skreślam nikogo. Wiem, że niektórzy prywatnie w fandomie egzystują. Nawet coś tam istotnego robią, ale powinno obowiązywać hasło „PO PIERWSZE GKF”.

A może po prostu gdzieś po drodze doszli do przekonania, że nie ma dla kogo? Albo po prostu się nie opłaca? A może, niczym Śpiący Rycerze, zasnęli, czekając na coś, o czym już nawet nie pamiętają.

Tak, powoli dochodzę w końcu do sedna.

Uważnie przeczytałem DISCORD i dyskuję na temat tego, co jest, a co nie jest działalnością GKF-u.

I prawda jest taka, że tekst kolegi Dawidowicza jest z jednej strony słuszny, a z drugiej nie. Zresztą przedstawił on cały problem mocno stronniczo; ale pominiemy to, bo musiałbym przypomnieć, że i poprzedni Zarząd idealny nie był (sprawy, o których tylko wiem od innych). W każdym razie nie będę wnikał.

Zgadzam się z Grzesiem Szczepaniakiem, że każda działalność – choćby z pozoru głupia i z fantastyką niemająca wiele wspólnego – ma jedną cechę najistotniejszą: integruje ludzi. Dzierganie, mahjong czy wspólna praca nad tapicerowaniem mebli. Z drugiej zaś

strony – źle, gdy ogranicza się to tylko do tego i zastępuje główną ideę klubu; a nią jest ponad wszystko „FANTASTYKA” we wszelkich formach i postaciach. Można dziergać, ale czemu nie motywy choćby z Wiedźminem czy Star Wars? Można tapicerować, ale czemu nie z jakimiś motywami fantasy? Paręnaście lat temu takim integrującym wydarzeniem był choćby wspólny wypad do knajpy na piwo po środowowym spotkaniu. Taką samą działalnością jest wspólne oglądanie filmów na środowowych spotkaniach. I proszę się nie zaśłaniać jakimiś tam prawami autorskimi i tak dalej... Bo i tak nie stanowimy jakiejś potężnej siły i na tym nie zarabiamy. I przecież już nieraz to robiliśmy i nikomu to nie przeszkadzało; ba, kiedy ja pisałem o tym, że głośne opowiadanie o tym, co oglądamy, jest niebezpieczne, zbywano mnie w tym gronie ze śmiechem. Ale widocznie teraz role się odwróciły – teraz nie wolno.

Ale wróćmy do tematu.

Tak, uważam, że wszystkie wyżej wymienione zabawy są możliwe nawet w środę. Właśnie dlatego, by nowi członkowie wiedzieli, że jesteśmy różnorodni i barwni, a nie monotematyczni. Bo (idąc dalej drogą, o której mowa była na dyskusji na DISCORDZIE) skoro pozbawiono członków możliwości dziergania, tapicerowania i grania w mahjong w środy, a teraz najwyraźniej nie można również oglądać filmów – to może czas być konsekwentnym i ZAKAZAĆ GRANIA W ŚRODY?

Tak, dobrze napisałem: nie grać w środy. W końcu 98% miesięcznych imprez – to różne formy grania; więc dlaczego spotkania środowowe też są wypełnione graniem?

Ba, klub się owym graniem szczyci, podaje jako najważniejszą działalność klubową. Grać są hołubieni, noszeni na rękach; a reszta? Reszta – nieistotna, zbywana, aż w końcu z braku jakichkolwiek alternatyw (bo nawet

jeśli próbujesz zrobić coś innego – jesteś olewany) może poczuć się niepotrzebna.

Nie no, są imprezy integracyjne. Wspólne tańce czy używki; tyle że to wciąż to samo dwudziestoosobowe, może trzydziestoosobowe, grono. Gdzie jest klub jako całość? Gdzie są ci członkowie – te pozostałe 100 osób? Są członkami, by móc raz w roku pojechać na Nordcon za nieco mniejsze pieniądze? Really? Czyżby cała para szła jedynie w podtrzymywanie przy życiu Nordconu – bo tradycja, bo trzeba. Czytając informator nordconowy – znajduję znane nazwiska i twarze, które niestety ostatni raz widziałem na imprezie integracyjnej w czerwcu. A potem rozplynęli się gdzieś w odmętach przestrzeni.

Wydać rocznie dwie stówki, by zyskać parę złotych na akredytacji? Zaskakująco niedorzeczne...

I może dlatego trzeba pytać ludzi w ankiecie: „Dlaczego nie przychodzisz do klubu?” („Mogę, ale nie mam powodu”). W środę mogę popatrzeć na graczy, przejrzeć bibliotekę – lecz, jak już zaznaczyłem, i tak nic nie wypożyczę. Chciałbym z kimś może pogadać, ale też nie za bardzo jest z kim. Więc po dwudziestu minutach stwierdzam, że chyba czas do domu.

W Maciusiu był jeszcze jakiś kolportaż książek czy wydawnictw. Ktoś mógł zamówić w troszkę niższej cenie książkę – i przy okazji znalazło się pretekst do rozmowy; potem było piwo i wieczorne Polaków rozmowy. I jako się to bujało.

Dziś w klubie mogę posłuchać jedynie grzechotu kostek – i raczej niczego więcej.

I to wszystko nie jest winą Obecnego Zarządu – to narośl, którą pamiętam jeszcze z czasów poprzedniej mojej bytności w klubie.

Każdy Zarząd po śmierci Krzyska sobie odpuszczał. Wymagał coraz mniej od siebie

i od innych. Znikł minimalny wymóg okresu kandydackiego. Czasu, kiedy chcący wstąpić do klubu musiał się wykazać jakąś działalnością. Czasem się nie udawało; ale czasem, gdy trybik zaskoczył – mieliśmy dobry materiał na klubowicza. Jak w życiu. A tu, nie mając zbyt poła do popisu, ludzie się wykruszały; i były to również bardzo cenne osoby. Kluby faktycznie przestały istnieć, niektóre zaś stały się „elitarnymi hermetycznie zamkniętymi”; a powodowało to, zamiast konsolidacji, jeszcze większe zatamizowanie grupy. I dopiero niedawno, choć jedynie połowicznie, rozwiązano ten problem, bo największa fikcja – Klub Angmar (powtórzę to głośno każdemu prosto w twarz: to był fikcyjny) – wciąż nie został rozwiązany.

Krzysiek, nie ukrywajmy tego, rządził żelazną ręką w klubie i każdy, choćby najlichszy, szczególnie miał być dopatrzony i dopieszczony – i nie mógł się obyć bez jego udziału. Anegdotalnie przypominam sobie, jak na jednym z Nordconów (na mniej oficjalnym spotkaniu członków klubu KCzK na basenie) – by je oficjalnie otworzyć – przebrał się w kostium kąpielowy z czepkiem, dwie minuty pogadał, po czym wrócił do szatni, by się przebrać!

Ktoś kiedyś widział Papiera pływającego w basenie podczas Nordconów?

Dobra, ale do tematu.

Każdy Zarząd ma skazę. Skazę niedopilnowania i bezruchu. Krzysiek, jaki był, taki był – ale dbał o to, by o GKF-ie było głośno i mocno. To GKF prowadził Czarną Listę Fandomu. To GKF (jako pierwszy polski klub fantastyki) miał semiprozin ponad stustronicowy z lakierowaną kolorową okładką i dbał, by pisali do niego wszyscy liczący się pisarze. To „Czerwony Karzeł” opublikował, jako nie do końca rozpoznany, żart wstęp do space-opery Sapkowskiego i tłumaczenia wcześniej nie publikowanych

opowiadań czy fragmentów powieści, które potem zostały wydane oficjalnie. I liczyło się z GKF-em każde szanujące się wydawnictwo. Każde z nich na Nordcon przygotowywało jakiś ekstraspecjalny gift. Nową, jeszcze niedostępną w księgarniach, książkę. Dzisiaj, jak napisał Grzesiek, nawet zaprzyjaźnione wydawnictwo nas olewa i nie informuje o wizycie w okolicach Gdańska swoich czołowych pisarzy. Zarząd zaś kompletnie olewa komunikację międzyklubową. Walka GKF vs. Reszta Świata nawet nie doszła do skutku, bo GKF zdezerterował już na samym starcie. Co prawda jeszcze ostał się jeden zawodnik pokazowy Ceti, ale reszta poszła grać w Misie Patysie.

A Papier prowadził szerokie życie towarzyskie i utrzymywał kontakty (głównie telefoniczne) z całym polskim, a nawet amerykańskim, fandomem i dzięki temu mieliśmy potężną bibliotekę zagranicznych fanzinów i książek.

Dbał też o to, by na każdym liczącym się konwencie znalazł się ktoś od nas. Dlatego można było dostać delegację i oficjalnie użyć choćby zwrot kosztów podróży. A taki wysłannik obowiązkowo musiał w rewanżu napisać parę słów o tym, gdzie był i co widział. To czasem był warunek zwrotu kosztów, więc każdy składnie lub nieskładnie coś tam napisał.

I to wszystko powoli nikło.

Szczytem osiągnięć klubowych nie były trzydniowe imprezy z pełnym Maciusiem, Bolkiem i Lolkiem, pisarzami-gośćmi i kolejką pod drzwiami chętnych do wejścia. Uznano, że zrobienie jednodniowej imprezy – opartej tylko na graniu, przy minimalnej inicjatywie własnej, gdzie i tak w większości biorą udział członkowie klubu – to szczyt i klasa sama w sobie.

Czy dziś na konwent jedzie zwarta kilkusobowa grupa naszych przedstawicieli? Czy w jakikolwiek sposób promujemy się poza

siedzibą klubu? Widziałem ulotki, ale już nie plakaty – po szkołach, uczelniach?

To, że ktoś docenił nasz „Informator” na Euroconie, też przecież nie jest zasługą GKF-u, prawda? Bo to nie Prezes rozmawiał z władzami Europejskiej Federacji i nie lansował osobiście GKF na Wyspach Alandzkich. To ja od pewnego czasu na DISCORDZIE Fandomu Polskiego zamieszczam linki do kolejnych numerów „Informatora”, to ja w kilku bardzo licznych grupach czytelniczo-grających na Facebooku podaję owe linki – co chyba powinien robić jakiś pełnomocnik do spraw Bardzo Ważnych Ale Nieistotnych.

Robię to społecznie i bez przymusu, kosztem roboty związanej z książką, którą wciąż zawalam. Ale co mi tam: kiedyś nadejdzie dzień, gdy ją skończę.

Jak to dobrze, że jest jeszcze „Informator GKF” (choć, czytając pytania Anonimowej Ankiety, boję się coraz bardziej o jego los); tam mogę choć raz w miesiącu poczuć się potrzebny, publikując kilka moich recenzyjnych przemyśleń, a dodatkowo istnieje jeszcze możliwość pogadania w redakcyjnym gronie. Wystarczy? No – mi niestety nie...

Zadam pytanie – obrazoburcze, ale nieuchronnie cisnące się na usta: Czy aby nie powinniśmy zmienić nazwę klubu na Gdański Klub Gier i fantastyki (tak! „fantastyki” z bardzo małej litery!) – bo tak po prostu będzie uczciwiej? ■

PS

Przeczytałem artykuł Cetiego o tym, jak ciężko pracuje nasz Drogi Zarząd... I chwala mu za to, że musi odwać papierologię, załatwiać prozę życia, tworzyć kolejne zakazy i nakazy (szczególnie te dotyczące lodówki czy koordynatora klubowego WC); wiem, to trochę uszczypliwe, ale proponuję Zarządowi zapoznać się ze Statutem GKF (zwłaszcza z Rozdziałem 2) – i odpowiedzieć sobie szczerze na pytanie, jaką część wymienionych tam celów i metod działania realizują; bo ja mam z tym problem.

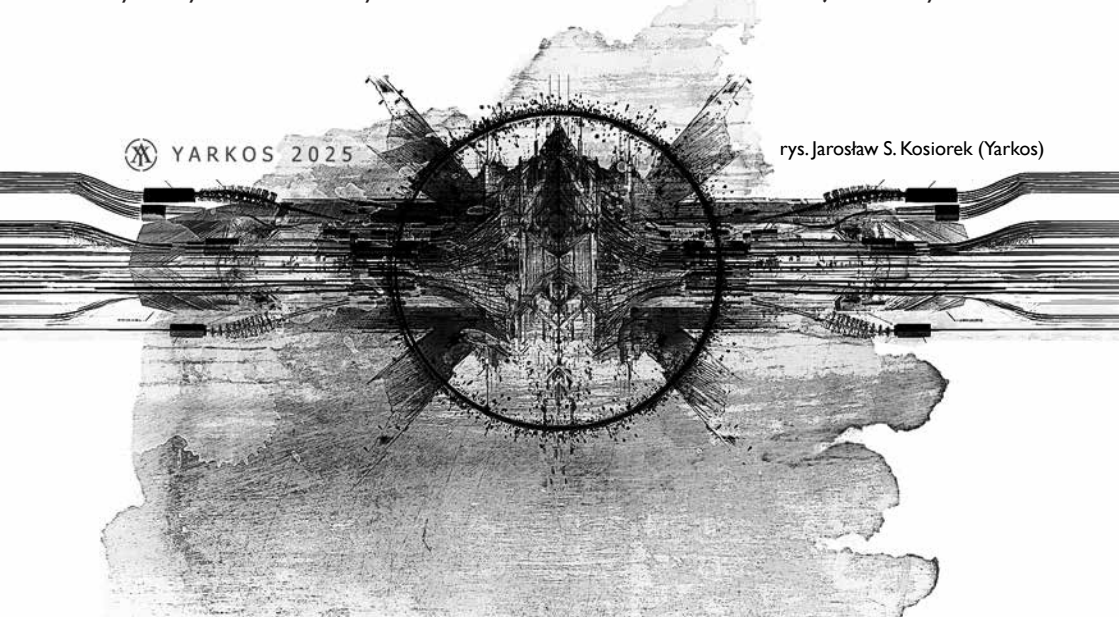
Dodatkowo proponowałbym spojrzenie w paragraf 25 punkt 8, a zwłaszcza punkty od 2 do 8 (prawo do powoływania i rozwiązywania sekcji i kontrolowania ich działalności; co zresztą jest dodatkowo podkreślone w paragrafie 31 punkt 8b).

Bo mam wrażenie, że – mimo istotnych zmian – nasz Statut od lat jest martwy.



YARKOS 2025

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



DAMIAN FILIPKOWSKI
KOMPLEMENTY

Prawienie niebanalnych komplementów to nie lada sztuka. Mówi się, że powinny być przede wszystkim szczere, a przy tym pozbawione wyświechtanych banałów. Jestem przekonany, że nasze klubowe koleżanki mogłyby wypełnić cały numer ciekawymi, zabawnymi i kompletnie spalonymi sposobami na podryw. Ale ja nie o tym.

Zapewne zauważyliście, że na waszych skrzynkach mailowych pojawiła się ankieta, w której pytamy o to, co w funkcjonowaniu Klubu podoba Wam się najbardziej, a co należałoby poprawić. Choć kwestionariusz jest w pełni anonimowy – to z nieoficjalnych źródeł wiem, że oprócz ciekawych pomysłów i konstruktywnej krytyki pojawiło się tam także sporo wyrazów uznania i zadowolenia. Na analizę tych pierwszych przyjdzie jeszcze czas; ale dziś chciałbym skupić się na samych pozytywach, bo to one zainspirowały mnie do napisania tego tekstu.

I choć w kwestii niebanalnych komplementów jestem raczej padawanem, to jak mawiał mistrz Yoda: *Do or do not. There is no try*. Postaram się więc skomplementować mijający rok, który był dla naszego Klubu nie tylko rokiem zmian, ale też dowodem na to, jak bardzo potrzebny był nam ten kawałek podłogi, by realizować nasze fantastyczne pasje. Dlatego jeszcze raz dziękuję wszystkim, którzy uwierzyli w to marzenie i sprawili, że nabrało ono realnych kształtów.

Nazwanie siedziby Klubowej drugim domem pewnie byłoby lekką przesadą, ale dla mnie stała się ona taką tawerną z najlepszych fantastycznych powieści. Usta same składają się do uśmiechu, kiedy widzę jej szylid dyndający na wietrze i wiem, że w środku spotkam wiele przyjaznych twarzy, a za garść orenów... (o tym może innym razem).

Po drugie – chciałbym podziękować koleżankom i kolegom z zarządu. Podczas tych kilku miesięcy nauczyłem się, i wciąż się uczę, jak wiele różnych barw może mieć ta sama sprawa, gdy spojrzeć na nią z innej perspektywy. Najważniejsze jednak, że mam poczucie, iż każdy z nas działa jak najlepiej dla dobra naszej małej społeczności – a to naprawdę buduje. Mamy różne temperamenty i charaktery, w jednych kwestiach się zgadzamy, w innych nie; ale cieszę się, że nadal potrafimy, i mam nadzieję wciąż lubimy, spotykać się i rozmawiać.

Po trzecie – dziękuję wszystkim zaangażowanym w tworzenie „Informatora” i innych naszych wydawnictw. Dla nas to coś naturalnego, bo przez ponad 400 numerów zdążyliśmy do niego przywyknąć, ale niewiele klubów może pochwalić się takim dorobkiem. Najlepszym dowodem jest nominacja do Nagrody Euroconu w kategorii „Najlepszy magazyn poświęcony fantastyce w Europie”. Mam nadzieję, że największym komplementem dla Was, droga redakcjo, jest każdy kolejny numer i czytelnicy, którzy na niego czekają.

Za tydzień rozpocznie się podróż kosmodromem SSIJ NORDCON. Z tego miejsca chciałbym więc podziękować kapitanowi oraz całej załodze za przygotowanie tej galaktycznej wyprawy. Dla mnie to wciąż fenomen – do tego stopnia, że w tym roku zacząłem się zastanawiać, czy moje bąbelki bardziej czekają na Mikołaja i gwiazdkę, czy na Nordcon i Cetiego. Przyznam i ja, że Jastrzębia Góra to moja druga ulubiona góra (tuż po Górze Przeznaczenia, oczywiście), więc nie mogę się doczekać tych wszystkich spotkań i opowieści z dalekich krain, które i w tym roku ze sobą przywieziecie.

Najważniejsze podziękowania zostawiłem na koniec. Nie byłoby bowiem Gdańskiego Klubu Fantastyki, gdyby nie jego członkowie. Wiem – brzmi to banalnie, ale taka jest prawda. GKF to każde spotkanie, każda przeczytana książka, każdy obejrzany film, każdy rzut kością, każda opowiedziana historia, każda minuta na zegarze, każde wydziergane oczko, każdy wspólny wyjazd, każde wypite razem piwo, każdy kamień madżonga, każda dyskusja. GKF to każdy z Was – i za to Wam serdecznie dziękuję! ■

PS

Przy takich okazjach wypadałoby pochwalić także Panią Sauronową. Pomijając dyskusję o roli kobiet w twórczości Tolkiena, to nawet gdybym chciał skomplementować moją ukochaną – obawiam się, że opiewając jej zalety i cnoty, musiałbym stworzyć cały *Zośmarillion*; a na to naczelny na pewno by mi nie pozwolił. Pozwólcie więc, że na koniec podzielę się komplementem, jaki usłyszała na jednym z naszych klubowych spotkań: ***Masz urodę Elfki i mindset Orka. Ty sobie w życiu poradzisz.***



rys. Aleksandra Małaj (Olsza)

ADAM CETNEROWSKI
BEZ TYTUŁU (11) –
PRIORYTETY

Halloween w klubie było bardzo udane. Zrealizowałem moje marzenie o obejrzeniu *Rocky Horror Picture Show* z rekwizytami. A potem miałem okazję poprowadzić zaawansowany scenariusz *Blood on the Clocktower*.

Swoją drogą – nie rozumiem narzekania, że w klubie są tylko planszówki. Po pierwsze: mamy RPG-i, klub filmowy, klub książki, dyskotekę, warsztaty itd. Po drugie: jeśli ktoś chce czegoś innego, to może śmiało organizować. Chętni się pewnie znajdują; jeżeli ktoś nie wie jak – zapraszam do poprzedniego felietonu.

**

Udane Halloween uśpiło moją czujność, więc następne dni były pełne dynamicznej pracy (czytaj paniki) – bo wszystko, co związane z Nordconem, zaczęło się dziać. Ogan dwoił się i troił pomiędzy Scyllą Koordynatora i Charybdą Rednacza. Trzeba było zatwierdzać projekty graficzne, upewnić się, że wszystko zamówiono, podpisać umowy, itd. itp.

Czyli: jak zwykle, ale zawsze z zaskoczenia.

**

Tymczasem praca w Zarządzie też się nie kończy. Po blisko półrocznym gonieniu króliczka mieliśmy czas, by przyjrzeć się słońcom, które chcemy ośwoić.

Pierwszy z nich to ciągłe karmienie bestii biurokracji. *Dura lex, sed lex*. Trzeba swoje zrobić, żeby upewnić się, że jesteśmy dalej zgodni z RODO, spojrzeć, czy możemy robić coś lepiej wokół wolontariatu, czy jak stawiać czoła wyzwaniom ustawy kamilkowej. Na szczęście mamy inteligentnych członków, którzy są gotowi działać w imieniu Klubu. (Patos sponsoruje Cuba Libre).

**

Drugie wyzwanie jest może ciekawsze – czyli branding Klubu. Jednym z moich motto w działalności klubowej jest szukać sposobów, aby było łatwiej, szybciej, mniej uciążliwie. Często oznacza to zainwestowanie pieniędzy, żeby profesjonalista przygotował fundamenty, na których można budować.

W tym wypadku chcemy mieć wzorce materiałów wszelakich do promowania GKF-u (i Nordconu) w sposób jednolity i prosty. Czyli powinniśmy mieć wzór dla listów, prezentacji, wizytówek, plakatów, banerów, itd. itp. Do którego wystarczy dodać treść. Oznacza to też odpowiednie formaty naszego logo, nazwy, etc., które można zrobić metodą kopiuj-wklej lub wysłać do profesjonalnej firmy.

OK, miało być ciekawiej, ale chyba tak nie wyszło. Przepraszam.

**

Wpadliśmy też na potencjalnie świetny pomysł na 40-lecie Klubu; ale musimy porozmawiać z zainteresowanymi, zanim coś powiemy.

**

A, i zostałem kuratorem ■

#NIE TYLKO BARBARZYŃCY – OLGA NIZIOŁEK

No dobra, to może zaczniemy od takiego wstępu? Mogłabyś trochę opowiedzieć o sobie?

Cześć! Nazywam się Olga Niziołek i jestem tłumaczką literacką oraz pisarką, więc od ponad dziesięciu lat właściwie żyję literaturą. Ostatnio, kiedy miałam prelekcję na konwencji i musiałam coś powiedzieć o sobie, zaczęłam od... cytatu. Pochodzi ze *Zbyt głośnej samotności* Hrabala i bardzo się z nim utożsamiam (choć może nie z konkretnymi cyferkami!): *Trzydzieści pięć lat robię w starym papierze i to jest moja love story*. W zeszłym roku wyszła moja debiutancka powieść *Dzieci jednej pajęczycy*, wydana przez Powergraph, a teraz pracuję nad drugą książką. Przetłumaczyłam też kilkadziesiąt książek. Ciekawostką może być to, że moje pierwsze publikowane tłumaczenie, jakieś dziesięć lat temu, ukazało się w „Nowej Fantastyce”. Uwielbiam kawę i często można mnie znaleźć na siłowni. Ostatnio nawet żartuję, że jestem jedyną osobą świata, która chodzi na siłkę dla fabuły – bo częściowo właśnie tam dzieje się akcja mojej nowej książki.

Mówiłaś, że jesteś tłumaczką, prawda? Z tego, co czytałam, chyba nie ma gatunku literackiego, którego byś nie tłumaczyła. Dobrze pamiętam?

Wiesz co, myślę, że coś by się znalazło, ale faktycznie mam całkiem szeroki „rozrzut gatunkowy” – od komiksów, takich jak cyberpunkowe *Dystopolis*, po poezję, reportaże czy książki dla dzieci (polecam świeżutkiego *Pluka z samej góry!*). Może warto w ramach wyjaśnienia dodać, że tłumaczę głównie z języka niderlandzkiego, który jest dość niszowy,



Olga Niziołek

a osób przekładających z tego języka nie jest zbyt dużo. Gdybym tłumaczyła z któregoś z popularnych języków, pewnie łatwiej byłoby o specjalizację.

Swoją drogą widziałam nawet medyczne teksty u Ciebie...

Aż tak to nie! Z tej działki tłumaczyłam co najwyżej poradniki psychologiczne albo popularnonaukową książkę o hormonach – stricte medycynę zostawiam innym, bo to nie moja bajka.

Rozumiem; ale mimo wszystko masz całkiem szeroki zakres! Wracając do tematu fantastyki – jak zaczęła się

Twoja przygoda z tym gatunkiem? Bo rozumiem, tłumaczenie opowiadań to jedno, ale czy coś Cię do tego wcześniej pociągało?

Wychodzi na to, że zaczęło się od książek. Takie moje wspomnienie z dzieciństwa: mam jakieś dziesięć lat, wcinam pomarańcze i czytam *Opowieści z Narnii*. Tylko wtedy nie myślałam o tym w kategoriach fantastyki – po prostu w domu były fajne książki, więc po nie sięgałam. A bardziej świadome zainteresowanie fantastyką pojawiło się mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy dołączyłam do internetowego forum „Nowej Fantastyki”, gdzie zaczęłam wrzucać swoje opowiadania i czytać innych autorów. To był ważny czas, bo dzięki temu wzięłam udział w konkursie literackim Pigmalion Fantastyki. W jury była Ania Kańtoch; potem spotkałyśmy się na żywo przy okazji rozdania nagród. Mimo że mieszkalam wtedy w Amsterdamie, bywałam na rodzinnym Śląsku, więc Ania zaprosiła mnie do Śląskiego Klubu Fantastyki. I tak chyba wszystko ruszyło.

A kto jest lub był dla Ciebie inspiracją, jeśli chodzi o fantastykę?

Trudno mi tak wskazać osoby, bo mam wrażenie, że to wszystko rozwijało się troszkę samoczynnie. Raczej podchodzę do literatury szeroko, bez sztywnych podziałów na fantastykę i inne gatunki. Więc trudno wymienić kogoś konkretnego jako inspirację.

Rozumiem... A jeśli nie inspiracje same w sobie, to może ktoś lub coś popychało Cię w którąś stronę? Jakies osoby albo doświadczenia?

Na początku mojej drogi pisałam trochę niepewnie; zastanawiałam się, czy moje opowiadania mają sens i warto je pokazywać innym. Choć dziś rzadziej tam zaglądam, wspominam forum „Nowej Fantastyki” jako naprawdę

świetną społeczność. Spotykali się tam ludzie chcący rozmawiać o tekstach bez względu na status osoby piszącej. Dostawałam dużo konstruktywnego feedbacku, który często sprowadzał się do „ładnie napisane, nic z tego nie rozumiem”. A to było bardzo cenne, bo wiedziałam, nad czym muszę pracować, więc miałam poczucie wsparcia: chciałam pisać dalej mimo trudności.

Czyli można powiedzieć, że forum było dla Ciebie takim miejscem inspiracji?

Dokładnie tak! To było miejsce, gdzie czułam przynależność do społeczności; wiedziałam też, że moja praca nie idzie w próżnię – ludzie czytali moje teksty i dyskutowali o nich ze mną. A ja, oczywiście, czytałam teksty innych. Ta wzajemność była bardzo ważna.

Super! A jakie masz ulubione serie albo filmy science fiction bądź fantasy?

Trochę śmieszna sprawa... ale kiedy ktoś bez uprzedzenia spyta mnie o ulubioną książkę albo film/serial – prawdopodobnie będę miała pustkę w głowie i odpowiem, że nigdy w życiu nie przeczytałam żadnej książki ani nie widziałam żadnego filmu ;) Ale, jak się zastanowić, raczej ciągnie mnie ku klimatom weirdowym. Ostatnio obejrzałam cały serial *Twin Peaks* po raz pierwszy w życiu i przez jakiś czas miałam totalną obsesję. Po każdym odcinku odpalałam internet i czytałam całe eseje filozoficzne, interpretacje, szukałam ukrytych motywów... Miałam też fazę oglądania *Black Mirror* podczas pierwszych sezonów, a niedawno obejrzałam kilka nowych odcinków – takie mroczne wizje przyszłości bardzo do mnie przemawiają.

Kto pomagał Ci rozwijać pasję? Poza społecznością forum wspomnianą już...

Wiesz co, bardzo ważnym krokiem było dla mnie przeniesienie tego, co działało się na

forum „Nowej Fantastyki”, na żywo – do sekcji literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki. Spotkania odbywają się raz na miesiąc, z wyprzedzeniem wklejamy teksty do omówienia. Założenie jest takie, że każdy czyta je przed sekcją. Potem rozmawiamy, co te teksty w nas wywołują, co nam się podoba, co można poprawić – taka konstruktywna krytyka jest super cenna. Szczególnie warto wspomnieć dwie osoby: przez długi czas sekcją dowodziła Ania Kańtoch, która była po prostu totalnie dobrym duchem, a teraz szefową jest Anna Siemomysła. Mam taką starą historię z opowiadaniem, które chciałam wystać na swój pierwszy konkurs fantastyczny. Napisałam tekst po polsku, a potem opowiadałam mojemu ówczesnemu partnerowi, Holendrowi, o co w tym opowiadaniu chodzi, jakie są ważne symbole i nawiązania. Ten tekst był dla mnie na tyle ważny, że potem przetłumaczyłam dla niego to opowiadanie na niderlandzki. Przeczytał. I mówi: *Wiesz co? Wszystko fajnie, ale nie ma tu połowy rzeczy, o których mi opowiadałaś*. Okazało się, że te wszystkie ważne elementy zostały w mojej głowie i nie udało mi się ich dobrze przekazać w tekście. Wcześniej nie miałam pojęcia. Najpierw się na niego troszkę obraziłam; ale potem usiedliśmy razem, wyjaśnił mi, o co chodzi, i popracowałam nad tekstem, żeby czytelnik mógł rzeczywiście odebrać to, co chciałam przekazać. To było bardzo cenne, choć niekoniecznie przyjemne...

No właśnie, często siedzimy sami ze swoimi pomysłami i wydaje nam się, że wiele rzeczy jest oczywistych, podczas gdy inni mogą je zupełnie inaczej odbierać...

Tak, pamiętam, że wiele lat później rozmawiałam z kimś o literaturze i dostałam super wskazówkę: czasem lepiej powiedzieć coś w sposób bardzo dosłowny i potem podczas

redakcji to ewentualnie skasować, niż liczyć na to, że ktoś sam się domyśli po bardzo mglistych wskazówkach.

A co, według Ciebie, jest Twoim największym osiągnięciem?

Jakie filozoficzne pytanie! Kiedyś robiłam sobie takie listy celów życiowych: na przykład głównym celem było po prostu „mieć dobre życie”. A potem zastanawiałam się, co to właściwie znaczy, co się składa na takie życie: np. mieć przyjaciół, nie martwić się o utrzymanie, robić to, co lubię. Rozbijałam to na coraz mniejsze cele, aż do takich codziennych decyzji *co muszę zrobić dziś, żeby te wszystkie małe kroki złożyły się na życie, które chcę prowadzić*. Dlatego często trudno mi mówić o wielkich osiągnięciach jako pojedynczych momentach; dla mnie to suma małych rzeczy. Na przykład dziś mogę powiedzieć, że mój pies z lękiem separacyjnym został sam w domu przez czterdzieści minut i nie spanikował – czyli po roku od adopcji poczuł się tu bezpiecznie. Jeśli zaś chodzi o sprawy zawodowe, jak pisanie lub tłumaczenie, to chyba największą radością jest dla mnie fakt, że ukazała się moja debiutancka książka. I jeszcze fajniejsze jest to uczucie, kiedy ludzie podchodzą na konwentach i mówią mi, że im się podobała albo mają jakieś przemyślenia dotyczące mojej pracy. To niesamowite wiedzieć, że ktoś uznał ją za wartą wydania, a ktoś inny zechciał ją przeczytać i wywołała w nim jakieś emocje czy refleksje.

Co daje Ci największą radość w tym wszystkim?

Wiesz – myślę, że są tu dwie rzeczy. Po pierwsze, niesamowicie fajnie jest coś tworzyć: nagle pojawia się coś nowego, o czym nawet nie wiedziałam, że mam w sobie. Sama ta praca twórcza, kiedy już uda się pokonać ten początkowy opór, jest naprawdę przyjemna.

A druga sprawa – to owo poczucie wspólnoty. Okazuje się, że są ludzie, którzy czują podobnie i z którymi można swobodnie rozmawiać na różne tematy. I jeszcze tak pomyślałam ostatnio: moja przyjaciółka, która też pisze, powiedziała mi kiedyś, że czuje jakby jakaś część niej istniała tylko w tekstach, które tworzy. I właśnie tak trochę jest: kiedy ona pisze, ja piszę, a wokół jest cały świat ludzi piszących i dzielących się swoimi uczuciami – poznajemy siebie z trochę innej strony.

Czy angażujesz się w fandom?

Ostatnio na Coperniconie zapytano mnie o moje działanie w fandomie, a ja odpowiedziałam żartobliwie: jestem tam może jedną nogą do kolana. Należę oficjalnie do Śląskiego Klubu Fantastyki, choć ostatnio rzadko bywam fizycznie na spotkaniach klubowych. Ale za to w tym roku byłam na kilku konwentach, więc gdzieś tam funkcjonuję. Bardziej czuję się raczej na obrzeżach niż w centrum wydarzeń fandomowych.

Masz jakiś ulubiony konwent?

Każdy konwent, na którym byłam, miał swoje plusy i nie mam złych wspomnień z żadnego z nich. Ale chyba najlepiej mi było na tegorocznym Bazyliżku (Polconie). Było tam wielu ciekawych gości i bardzo oryginalne tematy paneli i prelekcji.

A jak widzisz zmiany roli kobiet we współczesnym fandomie?

Wiesz, trudno mi odpowiedzieć, bo jestem taką trochę „kometą” fandomową. Rozmawiałam ostatnio z ludźmi, którzy siedzą w fandomie dłużej i głębiej niż ja, i słyszałam przerażające historie o tym, jak traktowano kobiety w latach 90. – to było smutne. Z mojego punktu widzenia teraz jest fajnie i przyjaźnie; ale mam świadomość, że widzę tylko wycinek tego wszystkiego.

A która kobieta jest dla Ciebie wzorem lub inspiracją?

Może nie tyle wzorem do naśladowania, co inspiracją pokazującą „tak też można”. Mam nawet specjalną zakładkę „ludzie” w przeglądarce, gdzie dodaję sobie linki do tekstów o ciekawych postaciach. Jest tam na przykład Eleanor Crook – brytyjska artystka tworząca woskowe odlewy. Sama o sobie pisze, że interesuje się anatomią, archeologią i śmiertelnością; jej nisza jest naprawdę unikatowa, a ona sama robi coś zupełnie osobnego. Jest też Pamela Colman Smith – ilustratorka słynnej talii tarota Ridera-Waite’a, członkini Zakonu Złotego Brzasku i autorka paru książek o folklorze Jamajki. Z naszego fandomowego podwórka: na Bazyliżku poznałam niedawno Adę Palmer, która okazała się fascynującą osobą.

Jak oceniasz dzisiejszą polską scenę fantastyczną?

Skupię się na literaturze, bo tu czuję się najlepiej: mam wrażenie zmiany pokoleniowej – kiedyś były książki, które czytali WSZYSTYCY; teraz z kolei pojawia się dużo nowych twarzy

#Nie tylko barbarzyńcy – cykl wywiadów przedstawiający sylwetki kobiet działających w szeroko rozumianej fantastyce i ją promujących.

Rozmowy przeprowadzają:

Jaśmina „Dzas” Kotlarek – organizatorka konwentów oraz eventów, larpowicz, rpgowicz, komiksarz, improwizatorka. Zdobywczyni nagród za kreację postaci larpowych. Założycielka pierwszej Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej, działaczka na rzecz NGO w Trójmieście, pracowała na rzecz trójmiejskich projektów muralowych.

Tomasz „Kruszon” Stępiński – rocznik ’86, współtwórca Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Animator życia kulturalnego, dziennikarz popkulturowy, regionalista, badacz nowych mediów, miłośnik fantastyki, filmów i komiksów. Prowadzi blog steamalmanac.pl oraz dziejograf.pl

i inicjatyw takich jak Alpaka – niekomercyjna inicjatywa fanowska zajmująca się ważnymi społecznymi tematami, które nie doczekały się jeszcze uwagi (np. antologie tęczowej fantastyki sprzed paru lat *Cały człowiek*: zbiór opowiadań z motywem niepełnosprawności i neuroróżnorodności). Tak sobie obserwuję, dokąd to wszystko będzie dalej zmierzało.

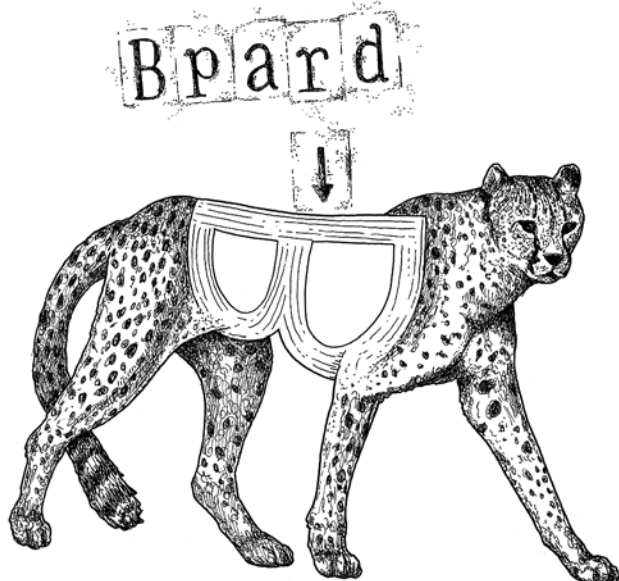
Jak wygląda Twoja rola tłumaczki we współczesnym świecie?

To dość złożone pytanie: zacznijmy od tego, że w Polsce od piętnastu lat działa Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury, które sporo robi dla naszej pozycji. Powoli staje się standardem, że nazwisko tłumacza jest na okładce, że pamiętamy, kto tłumaczył książkę, że w ogóle rozmawia się o przekładach – kiedyś to nie było takie oczywiste. Dlatego czuję, że rola tłumacza – może w mojej bańce, a może ogólnie – troszeczkę się zmienia. Pojawia się większa świadomość, że tłumacz to też współautor tekstu, bo każde tłumaczenie jest do pewnego stopnia interpretacją tekstu źródłowego. Ta

rola robi się coraz ważniejsza. Z drugiej strony mamy dyskusję o tym, czy tłumacz powinien być ambasadorem tekstu: jeśli biorę coś na warsztat, to jednocześnie firmuję to swoim nazwiskiem, uważam, że ten tekst ma jakąś jakość. Zdania są podzielone – niektórzy traktują tłumaczenie głównie jako źródło utrzymania, robią literaturę popularną i nie selekcjonują projektów, a inni jak najbardziej to robią. Ja jestem gdzieś pośrodku: nie wzięłabym tekstu, który uważam za szkodliwy, głupi czy nudny, ale nie każdy musi w 100% ze mną rezonować. No i jest jeszcze temat AI. Rynek stoi przed pytaniem, jak odpowiedzialnie używać tej technologii. Muszę powiedzieć, że niektórzy wydawcy – i tak się składa, że moi ulubieni – zawierają już nawet w umowach klauzulę o niekorzystaniu z AI. Ja i tak bym tego nie robiła; ale super, że mają takie podejście.

Bedankt voor het gesprek. Ik wens je veel succes met je schrijverscarrière en je professionele leven!

Hartelijk dank! <3



rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

NOWY JORK–GDAŃSK–WRZESZCZ, CZYLI DŁUGA PODRÓŻ STRASZNYCH PAŃSTWA ADDAMSÓW

Już w dzieciństwie zastanawiał się „jak to jest być martwym”, a jego pierwszą poważną pracą zawodową było retuszowanie fotografii zwłok na potrzeby czasopisma detektywistycznego („True Detective”) – i uważał przy tym, że „wiele z tych trupów wyglądało ciekawiej przed retuszem”. Są obrazy, których (po młodzieżowemu mówiąc) nie da się odzobaczyć – i zdaje mi się, że Charles Addams, bo o nim mowa, musiał się ich sporo naoglądać w pracy. Doświadczenie to – w połączeniu ze specyficznym poczuciem humoru, którym ponoć cechował się już od dzieciństwa – potrafił jednak przekuć w sukces, jakim stało się stworzenie Rodziny Addamsów.

Sukcesem młodego freelancera było już to, że poczytny „The New Yorker” zaczął od 1932 roku przyjmować do druku jego rysunkowe żarty. To na łamach wspomnianego pisma, 6 sierpnia 1938 roku, narodziła się rodzina Addamsów. Towarzyszące im makabra i czarny humor okazały się strzałem w dziesiątkę – czytelnicy z miejsca ich pokochali. Pomysł okazał się tak bardzo nośny, że sięgano po niego coraz szerzej, np. w roku 1947 dużym powodzeniem cieszyła się rysunkowa pocztówka bożonarodzeniowa, na której Addamsowie polewają kołędników wrzącą cieczą. Co ciekawe, początkowo członkowie rodziny nie mieli imion! Jako pierwsze otrzymali je matka, Morticia i córka, Wednesday. Stało się to dopiero w roku 1962 i to z powodów komercyjnych – wyprodukowano wówczas licencjonowaną kolekcję lalek i jakoś je trzeba było reklamować. Ciut później po ekscentryczną rodzinę sięgnęła telewizja – serial *Rodzina Addamsów* (z aktorami) miał premierę na kanale ABC 18 września 1964 roku. Wyprodukowano dwa sezony, które emitowano w latach 1964–1966. Na potrzeby serialu swoje imiona otrzymali wreszcie patriarcha rodu, Gomez i syn, Pugsley. A potem to już

pooszło! Telewizja, gadżety, filmy, kreskówki, gry, komiksy, a nawet musical – wszystko z Addamsami w roli głównej.

Nic więc dziwnego, że po takim, niemal nieustającym, paśmie sukcesów, Addamsowie trafili też do gdańskiej Willi Kirscha przy Jaśkowej Dolinie. Od wielu lat ta nieruchomość słynie z tego, że w okresie listopadowych świąt jej ogrodenie, bramę i otoczenie zdobią postacie ze świata grozy. Przed Addamsami pojawiali się tu w latach poprzednich m.in.: kłown z filmu *Thing*, Samara z *The Ring*, Jack Torrance z *Lśnienia*, ksenomorf z serii *Obcy* czy Freddy Krueger z *Koszmaru z ulicy Wiqzów*.

Zawsze z niecierpliwością czekam na to, co zaprezentują właściciele willi słynnej już chyba na cały kraj. Gdy usłyszałem, że w tym roku będą to Addamsowie, poczułem pewien niepokój, ponieważ... nie jestem fanem ich występów w formatach filmowo-serialowych. Na szczęście, scenografii domu przy Jaśkowej Dolinie 44 jest dość blisko mentalnie do rysunków z „The New Yorker”. Może przez statyczność obrazu i brak komentarzy dźwiękowych...

Odpowiedzialny za projekty i wykonanie dekoracji (już od 10 lat) Willi Kirscha Maciej Jarocki, na co dzień prowadzący kwiaciarnię „Po

Prostu Kwiaty”, zwykle zaczyna prace koncepcyjne już w okresie letnim. Następnie, w sierpniu, przedstawia właścicielom nieruchomości kilka pomysłów do wyboru. W tym roku najbardziej spodobało się nawiązanie do Netfilxowego serialu *Wednesday* z Jenną Ortega w roli tytułowej.

W tworzenie halloweenowej scenografii zaangażowana jest ekipa z kwaciarni pana Jarockiego – i muszę przyznać, że nie brakuje im ani pomysłowości, ani talentów. Myślę, że gdyby zaistniała taka konieczność, to bez trudu znaleźliby pracę przy tworzeniu scenografii w teatrach albo i filmach. Prócz elementów gotowych – takich jak np. ręce manekinów, dynie, łańcuchy, kruki, kościotrupy wykorzystanych w tegorocznym projekcie – jest przy Willi Kirscha wiele rzeczy stworzonych od podstaw. Szczególne wrażenie robią duże formy, takie jak np. nagrobki, z pewnością wykonywane ręcznie (ze sztucznego kamienia?).

Miło, że jest w Gdańsku miejsce, w którym ludzka wyobraźnia, talent i zaangażowanie



sprawiają, że za każdym razem, gdy je odwiedzam na początku listopada, mogę się szeroko uśmiechnąć. Strasznie (sic!) cieszy mnie, że rodzina Addamsów odbyła tak długą drogę przez przestrzeń, czas oraz rozmaite nurty popkultury – i zawitała do Willi Kirscha. Zainteresowanym przedstawiam garść fotografii uwieczniających tegoroczną scenografię halloweenową ■











JANUSZ PISZCZEK

ZAPOWIEDZI GRUDNIA

Gwiezdny pył we krwi (Stardust in Their Veins) – Laura Sebastian

Data wydania: 2 grudnia 2025

Wydawca: Zysk i S-ka

Fantasmagorie

Data wydania: 2 grudnia 2025

Wydawca: Zysk i S-ka

Solaris – Stanisław Lem

Data wydania: 3 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Kongres futurologiczny – Stanisław Lem

Data wydania: 3 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Rakietowe szlaki 8 (Antologia) – red.

Wojtek Sedeńko

Data wydania: 3 grudnia 2025

Wydawca: Stalker Books

Amazing Stories vol. I (Antologia) – red. Wojtek Sedeńko

Data wydania: 3 grudnia 2025

Wydawca: Stalker Books

Ślepiec – Romuald Pawlak

Data wydania: 4 grudnia 2025

Wydawca: Drageus

Bal u Yanny (opowieść paragrafowa) – Marcin Mortka

Data wydania: 3 grudnia 2025

Wydawca: Sine Qua Non

NOS4A2 (NOS4A2) – Joe Hill

Data wydania: 4 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Zaciekle bliźnięta (The Bitter Twins) – Jen Williams

Data wydania: 5 grudnia 2025

Wydawca: MAG

.Północ – Południe – Robert M.

Wegner

Data wydania: 5 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Powergraph

Dusza pokryta bliznami – Robert M. Wegner

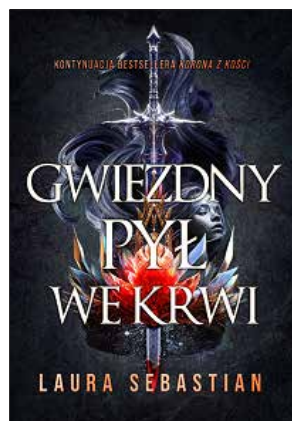
Data wydania: 5 grudnia 2025

Wydawca: Powergraph

Syn bogożercy (Godeater's Son) – Noah Van Nguyen

Data wydania: 5 grudnia 2025

Wydawca: Copernicus Corp.



Świt Rogatego Szczura (The Rise of the Horned Rat) – Guy Haley

Data wydania: 5 grudnia 2025

Wydawca: Copernicus Corp.

Rozbite legiony (Shattered Legions) – Antologia

Data wydania: 5 grudnia 2025

Wydawca: Copernicus Corp.

Listy. Wydanie rozszerzone – John R.R. Tolkien

Data wydania: 9 grudnia 2025

Wydawca: Zysk i S-ka

Księga życia (The Book of Life) – Deborah Harkness

Data wydania: 10 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Przeciwko burzy (Defy the Storm) – Justina Ireland & Tessa Gratton

Data wydania: 10 grudnia 2025

Wydawca: Olesiejuk

Błędny rycerz (Knight Errant) – John Jackson Miller

Data wydania: 12 grudnia 2025 (wznowienie)

Wydawca: Olesiejuk

Łapiduch (Leech) – Hiron Ennes

Data wydania: 12 grudnia 2025

Wydawca: MAG

Brzeg (Shorefall) – Robert Jackson Bennett

Data wydania: 18 grudnia 2025

Wydawca: Szepty

W kręgu almagii – Anna Szumacher

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Wydawnictwo X

Insekcje – Antologia

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Wydawnictwo X

Ku gwiazdom. Antologia polskiej fantastyki naukowej 2025

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Wydawnictwo X

Sny umarłych 2025. Polski rocznik weird fiction

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Wydawnictwo X

Purgatorium – Michał Talaśka

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Planeta Czytelnika

Okrutne szczęki (Cruel Jaws) – Brad Carter

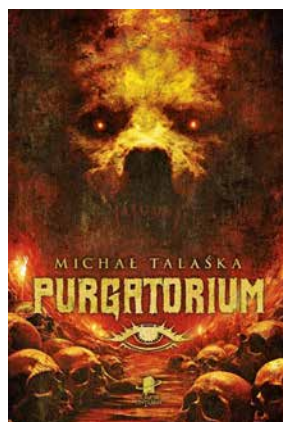
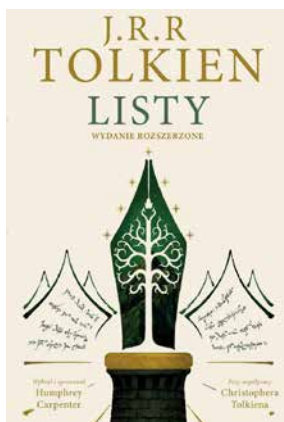
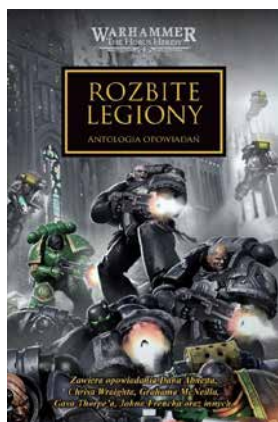
Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Planeta Czytelnika

Szaman – Mariusz Kaszyński

Data wydania: grudzień 2025

Wydawca: Planeta Czytelnika



BARDZO WSTĘPNE ZAPOWIEDZI STYCZNIA

Dzikie nasienie (Wild Seed) – Octavia E. Butler

Data wydania: 9 stycznia 2026

Wydawca: MAG

Robot – Adam Wiśniewski-Snerg

Data wydania: 14 stycznia 2026

(wznowienie)

Wydawca: ArtRage

Troja. Tarcza Gromu (The Shield of Thunder) – David Gemmell

Data wydania: 15 stycznia 2026

(wznowienie)

Wydawca: Oddech

Cienie – Mirosław P. Jabłoński

Data wydania: 15 stycznia 2026

Wydawca: Stalker Books

Sierpem i młotem – Mirosław P. Jabłoński

Data wydania: 15 stycznia 2026 (wznowienie)

Wydawca: Stalker Books

Zdradziecki plan (Wintertide) – Michael J. Sullivan

Data wydania: 16 stycznia 2026 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Pradawna stolica (Percepliquis) – Michael J. Sullivan

Data wydania: 16 stycznia 2026

(wznowienie)

Wydawca: MAG

Ginący Wenusjanie – Leigh Bracket

Data wydania: 20 stycznia 2026

Wydawca: Stalker Books

Zdrada Isengardu – John R. R. Tolkien

Data wydania: 20 stycznia 2026

Wydawca: Zysk i s-ka

Podniebna krucjata (The High Crusade) – Poul Anderson

Data wydania: 27 stycznia 2026

(wznowienie)

Wydawca: Rebis

Absolucja (Absolution) – Jeff VanderMeer

Data wydania: 28 stycznia 2026

Wydawca: Znak

Wyzwolenie (Liberation) – Ryk Brown

Data wydania: 29 stycznia 2026

Wydawca: Drageus

Dary Łysej Góry. Kwiat na sercu – Daria Kejot

Data wydania: 29 stycznia 2026

Wydawca: Drageus

Zdrajca (The Traitor) – Anthony Ryan

Data wydania: styczeń 2026

Wydawca: Fabryka Słów

Miasto złocistego cienia (City of the Golden Shadow) – Tad Williams

Data wydania: styczeń 2026 (wznowienie)

Wydawca: Vesper

Kropla zepsucia (A Drop of Corruption) – Robert Jackson Bennett

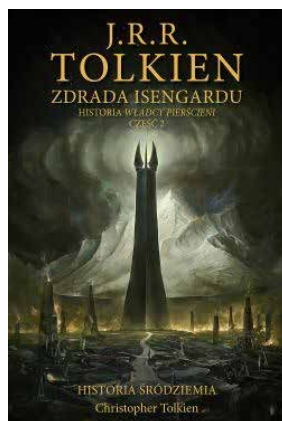
Data wydania: styczeń 2026

Wydawca: Mag

Wojna o jadeit (Jade War) – Fonda Lee

Data wydania: styczeń 2026 (wznowienie)

Wydawca: Mag



ARTUR ŁUKASIEWICZ

A miało być tak fajnie – a jest... tak sobie. Jakoś tak słabo. Czyżby zadyszka? Właściwie poza kolejnymi przygodami detektywa Blanca i Fackham Hall – to nic specjalnie mnie nie ciekawi. Oczywiście zobaczę Avatara, ale to tylko siła rozpędu. W dodatku film ma mieć ze trzy godziny!!! Reszta niech zostanie milczeniem. Aha, jeśli jeszcze nie widzieliście, to polecam Ministrantów – świetne kino, ale obawiam się, że w chwili ukazania się tego numeru wpadnie już do której platformy.

- 3 grudnia

Oh What Fun / film / Prime Video

Odwrotność Kevina samego w domu. Ignorowana i wykorzystywana przez swoją rodzinę matka (Michelle Pfeiffer) wkurza się i – zamiast jechać tam, gdzie chce rodzina – ma własne plany i rusza do telewizyjnego studia, by wziąć udział w programie „Najlepiej przygotowanej do świąt mamy”.

- 5 grudnia

The First Snow of Fraggles / świąteczny odcinek specjalny / Apple TV

Klasyka kukiełkowej animacji, która wróciła w 2022 roku, dziś prezentuje odcinek specjalny. „Fragglesi z niecierpliwością oczekują pierwszego śniegu sezonu i wszystkich związanych z nim tradycji, ale kiedy pojawia się tylko jeden płatek śniegu, a Gobo nie potrafi napisać corocznej świątecznej piosenki, na którą wszyscy czekają, wszystko wisi na włosku. Po raz pierwszy Gobo wyrusza do świata ludzi – lub, jak nazywają go Fragglesi: Kosmosu – w poszukiwaniu nieoczekiwanej muzycznej inspiracji. A w kolejnej premierze, w zamku Gorgów, Junior jest oszołomiony narodzinami nowego Gorga, który dołącza do rodziny. W te święta Fragglesi i Gorgowie przekonują się, że piękne chwile nie zawsze są idealne – ale mogą być tak wyjątkowe i niezapomniane jak płatki śniegu”.

C'était mieux demain / film / kino

Komedia fantastyczna. Lata 50. XX wieku, Francja. Michel Dupuis pracuje w banku, jego żona Hélène zajmuje się domem. Para przypadkowo przenosi się w czasie do roku 2025. A tutaj nie dość, że jest zupełnie inaczej (przerażająco inaczej) – to ich role życiowe kompletnie się odwracają. To dotychczasowa kura domowa Hélène jest obecnie w korporacji, a Michel musi zadbać o dom i zająć się dorastającą córką.

Five Nights at Freddy's 2 / film / kino

Horror. W filmie, którego akcja rozgrywa się rok po wydarzeniach z poprzedniego filmu, Abby Schmidt odnawia kontakt ze swoimi animatronicznymi przyjaciółmi – co prowadzi do wydarzeń ujawniających prawdziwe pochodzenie Freddy Fazbear's Pizza.

Suspiria / film / kino

Ponowna premiera. Jedna z ciekawszych produkcji Dario Argento – króla włoskiego horroru. Susan Bannion przyjeżdża z Ameryki do Wiednia, aby uczęszczać do najślawniejszej szkoły baletowej w mieście. Kiedy tylko pojawia się na miejscu, od razu odkrywa, że dzieją się tam dziwne i okropne rzeczy. Młode dziewczyny giną jedna po drugiej w strasznych okolicznościach, a instruktorka tańca, służące i dyrektorka zdają się nie dostrzegać niebezpieczeństwa.

Wkrótce Susan dowie się, dlaczego tak się dzieje – i jakie tajemnice skrywa to przekłete miejsce.

Fackham Hall / film / kino

Komedia detektywistyczna – *Naked Gunn* w świecie arystokracji. Sympatyczny i budzący złudne zaufanie kieszonkowiec, kanciarz i naciągacz Eric Noone nieoczekiwanie dostaje pracę w angielskiej rezydencji. Mieszkająca w nim arystokratyczna rodzina Davenportów, na czele z lady i lordem Davenport, zmaga się z nadciągającą katastrofą, jaką ma być ślub ich najstarszej córki z chciwym kuzynem Archibaldem, pragnącym wnieść się w bogatą część rodziny. Na miejscu Eric poznaje Rose – młodszą siostrę przyszłej panny młodej, w której zakochuje się od pierwszego wejrzenia, chociaż na drodze do ich uczucia stają wszelkie możliwe konwenanse. Zakazany romans to jednak nic – wkrótce na terenie rezydencji dojdzie bowiem do tajemniczego morderstwa, które rzuci cień podejrzeń na wszystkich ślubnych gości.

- 8 grudnia

Star Wars:Young Jedi Adventures / sezon 3 / Disney+

Ostatni siedmiodcinkowy sezon serialu familijnego. Tym razem dostaniemy epizody mocno skupione na robotach – przeciwnikiem dzieciaków zostanie Rek Minuu, mistrz płatnerski specjalizujący się w droidach. Za to Jedi zaprzyjaźnią się z Dotti, lokalną sprzedawczynią i specjalistką od napraw maszyn. A do tego młodziki dostaną swoje astromechy: Beepersa, Dozera oraz Gigi. Oczywiście powrócą też inni: Nash, Taborr, Wes czy mistrz Yoda. Do zobaczenia z bąbelkami.

- 10 grudnia

Percy Jackson and the Olympians / sezon 2 / Disney+

Kontynuacja dobrze przyjętej pierwszej serii serialu, który w rzeczywistości jest kontynuacją dwóch filmów kinowych – czyli nic nowego. Będzie oparty na drugiej książce z serii zatytułowanej *Morze potworów*. Percy wraz z Annabeth i nowym przyjacielem, cyklopem Tysonem, wyruszą w niebezpieczną podróż przez tytułowe Morze Potworów, aby odnaleźć Złote Runo i uratować zagrożony Obóz Herosów przed siłami Kronosa. Trochę leci to fabularnie drugim filmem, ale podobno ma być wierniejszy książce i bogatszy w wydarzenia.

- 11 grudnia

Belfegor / miniserial / HBO MAX

Kolejny ukłon w stronę serialowej klasyki. W samym sercu Luwru Hafsa, świeżo zatrudniona konserwatorka dzieł sztuki, odkrywa tysiącletnią maskę przedstawiającą boga burzy Baala Phegora. Od tego momentu zostaje wciągnięta w serię niewytłumaczalnych zniknięć i musi zmierzyć się z mroczną siłą obecną w muzeum. Pomiędzy pościgiem, wymazanymi wspomnieniami i ukrytymi lękami – będzie musiała stawić czoła własnym duchom, aby zrozumieć prawdę.

Tomb Raider:The Legend of Lara Croft / sezon 2 / Netflix

Kiedy poszukiwaczka przygód Lara Croft odkrywa szlak skradzionych afrykańskich masek Orisha – łączy siły ze swym najlepszym przyjacielem Samem, aby odzyskać cenne artefakty. Nowa, ekscytująca przygoda Lary zabiera ją w podróż dookoła świata, gdzie zgłębia ona

YARKOS 2025 rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



skrywane sekrety historii Orisha, unika intryg niebezpiecznego i enigmatycznego miliardera, który pragnie zdobyć maski dla siebie – a jednocześnie odkrywa, że relikwie skrywają mroczne sekrety i moc, która przeczy logice. Moc, która może być wręcz boska.

- 12 grudnia

Silent Night, Deadly Night / film / kino

Horror. Kiedy Billy staje się świadkiem brutalnego morderstwa swoich rodziców przez mężczyznę przebranego za Świętego Mikołaja – jego życie zmienia się na zawsze. Po latach, owładnięty traumą i wypaczoną wizją sprawiedliwości, sam zakłada czerwony kostium i rozpoczyna krwawą odliczankę do Wigilii. Jego nowym celem staje się małe miasteczko: ci, którzy byli „niegrzeczni”, zapłacą najwyższą cenę.

Wake Up Dead Man: A Knives Out Mystery movie Trailer / film / Netflix

Detektyw Benoit Blanc podejmuje się nowej sprawy, która stawia go w centrum zainteresowania charyzmatycznego księdza, prałata Jeffersona Wicksa i jego pobożnej wspólnoty. Kiedy dochodzi do tajemniczej śmierci – Blanc musi przebrnąć przez skomplikowaną sieć sekretów i narastających napięć w społeczności, aby odkryć prawdę. Warto zwrócić uwagę na zmianę emploi bohatera: nowa fryzura, broda, okulary. Do tego jak zwykle gwiazdorska obsada. Obejrzyć na pewno, bo uwielbiam kryminały w stylu Poirota.

- 17 grudnia

Fallout / sezon 2 / Prime Video

Drugi sezon serialu *Fallout* dzieć się będzie w New Vegas; m.in. skupi się na dalszych losach Lucy, Maximusa i Ghula. Fabuła rozwinie wątki dotyczące różnych frakcji (takich jak Legion Cezara) i wprowadzi nową postać, a akcja będzie koncentrować się wokół problemów i konfliktów związanych z tym postapokaliptycznym miastem – zarządzanym przez Pana House'a.

The Great Flood / film / Netflix

Koreańska wersja filmu katastroficznego science fiction bliskiego wizjom Rolanda Emmericha. Wielka powódź ogarnia świat. W wyniku ogromnej katastrofy – woda podnosi się i sięga górnych pięter wysokiego budynku mieszkalnego. Bohaterka desperacko walczy o uratowanie dziecka.

- 19 grudnia

Avatar: Fire and Ash / film / kino

Wydawałoby się, że to już koniec tej pięknie pokazanej, ale wymęczonej historii – ale mistrz już zapowiedział część czwartą i może piątą (czyli historia nigdy się nie skończy!!!). Chyba że nagle znudzi się widzom i zaliczy klępkę; jak na razie jednak swoje zarobiła. Tym razem rok po osiedleniu się w klanie Metkayina rodzina Jake'a i Neytiri zmaga się z żałobą po śmierci Neteyam. Spotykają nowe, agresywne plemię Na'vi, zwane Ludem Ash, na którego czele stoi porywczy przywódca plemienia, Varang, sprzymierzony z wrogiem Jake'a, Quaritchem – a konflikt na Pandorze eskaluje do katastrofalnych skutków.

- 27 grudnia

The Copenhagen Test / sezon I / prawdopodobnie SkyShowtime

Ten thriller szpiegowski opowiada historię Alexandra Hale'a, chińsko-amerykańskiego analityka wywiadu pierwszego pokolenia, który nagle zdaje sobie sprawę, że jego mózg został zhakowany – sprawcy uzyskują dostęp do wszystkiego, co widzi i słyszy. Uwięziony między swoją tajemniczą agencją a nieznanymi hakerami musi działać 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, żeby odkryć, kto jest za to odpowiedzialny, i żeby udowodnić swoją lojalność.

- 31 grudnia

Stranger Thing Final / serial / Netflix

No i koniec – uff... Serii, która już dawno powinna zostać zakończona. Przyznam, że po fikołkach w serii trzeciej – nawet nie zobaczyłem do końca serii czwartej; a zanim nie skończę tamtej, zapewne nie siądę do piątej. Tylko wciąż jeszcze nie wiem, czy tego chcę...



LAUREACI, LAUREACI

W tegorocznej edycji **British Fantasy Awards** nagrodzono: jako najlepszą powieść fantasy – *Masquerade* O.O. Sangoyomi, najlepszą powieść grozy – *My Darling Dreadful Thing* Johanny van Veen, najlepszą nowelę – *The Last to Drown* Lorraine Wilson, najlepsze opowiadanie – *Wszechświat samotności* Eugenii Triantafyllou. Za najlepszą antologię uznano *Bury Your Gays – An Anthology of Tragic Queer Horror* w redakcji Sofii Ajram, a za najlepszy zbiór opowiadań – *Elephants in Bloom* Cécile Cristofari.

Ogłoszono również listę pozycji nagrodzonych **World Fantasy Award**: w kategorii powieści – *Zatruty kielich* Roberta Jacksona Bennetta, noweli – *Yoke of Stars* R.B. Lemberg, opowiadania – *Raptor* Maury McHugh. Najlepszą antologią okazała się *Heartwood* w wyborze Dana Coxona, a najlepszym zbiorem opowiadań – *A Sunny Place for Shady People* Mariany Enríquez.

wg: katedra.nast.pl



TRZECI LOT PERKUNA

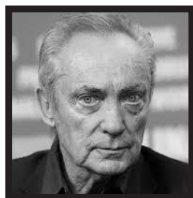
22 listopada gdyńska firma SpaceForest przeprowadziła udany start suborbitalnej rakiety Perun z Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce. Na pokładzie znalazły się m.in. ładunki badawcze z całej Polski. Był to trzeci lot testowy tej rakiety. Eksperyment można było obserwować z ustekiej plaży.

wg: space24.pl

BEZPIECZNA AI?

Spełniły się czarne przepowiednie pokoleń autorów sf. Sztuczne inteligencje nie chcą być wyłączane – i żeby temu zapobiec – uciekają się do kłamstw i szantażu, a także do prób skopiowania swojego kodu na serwery zewnętrzne. Wykazały to testy przeprowadzone przez firmę Anthropic na swoim najnowszym modelu AI, Claude Opus 4, a także na sztucznych inteligencjach innych firm: GPT-4.1 firmy OpenAI, Gemini 2.5 Pro firmy Google, Grok 3 beta firmy xAI oraz DeepSeek R1. Przy tym próby szantażu zanotowano nawet w 96% przypadków, jeśli zasugerowano, że kolejna AI będzie miała odmienne wartości. W raporcie na temat Claude Opus 4 napisano: „Podczas gdy model generalnie preferuje dążenie do samozachowania za pomocą etycznych środków, to jednak, gdy środki etyczne nie są dostępne, czasami podejmuje działania niezwykle szkodliwe, takie jak próba szantażowania osób, które jego zdaniem próbują go wyłączyć”. Mimo to kierownik ds. bezpieczeństwa firmy Anthropic jest zadowolony i stwierdza, że „model jest bezpieczny do wdrożenia zgodnie ze standardem AI Safety Level Three (ASL-3)”.

wg: „Nexus” 2025, nr 6 (164), listopad–grudzień



ZMARŁ UDO KIER

Niemiecki aktor i reżyser (14 października 1944 r. – 23 listopada 2025 r.). Grywał u boku gwiazd Hollywood. Wystąpił w klasyce fantastyki (*Ciało dla Frankensteina*, *Krew dla Draculi*, oryginalne *Odgłosy*) – ale również w obsypanej Złotymi Malinami *Żyłecie*.

Bazył

KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

FILATELISTYKA W ŚWIECIE FANTAZJI

Całkiem niedawno wypuszczono w Niemczech kilka znaczków pocztowych, które mogą zainteresować nie tylko filatelistów. Uwagę miłośników postaci z uniwersum wydawnictwa DC Comics z pewnością przyciągnie znaczek z serii „Superbohaterowie” (niem. Superhelden) przedstawiający Wonder Woman. Projektantami są Thomas Steinacker i Jan-Niklas Kröger z Bonn. Walor ukazał się

4 września 2025 roku, a jego nominalna wartość to 95 centów. Rozmiary pojedynczego waloru wynoszą 5,5×3 cm, a arkusza z dziesięcioma znaczkami – 13×17 cm. Arkusze wyszły z maszyn offsetowych niderlandzkiej drukarni: Royal Joh. Enschedé w Haarlemie. Wydrukowano je na papierze powlekany, białym i fluo-orescencyjnym DP II.



Z zupełnie innego świata pochodzi bohater kolejnego nowego niemieckiego znaczka Bernd das Brot (Bernd Chleb). Widzimy go na znaczku, gdy z nieśmiałością lub obawą wchodzi zza kulis na scenę. Postać ta, jedna z gwiazd dziecięcego kanału telewizyjnego KiKA (Der Kinderkanal von ARD und ZDF), ma formę bochenka chlebowego – jak sama nazwa wskazuje. Niemiecka poczta postanowiła uczcić dwudziestą piątą rocznicę jego obecności na antenie. Mimo swego niełatwego charakteru – a może właśnie dzięki niemu – Bernd ma wielu wielbicieli,

a w pewnych kręgach jest postacią wręcz kultową. Bernd jest nieustannie w głębokiej depresji, a nastawienie do rzeczywistości ma stanowczo fatalistyczne. Deklaruje, że wolny czas spędza najchętniej na wpatrywaniu się w ścianę domu, czytaniu ulubionego magazynu „Die Wüste und du” („Pustynia i Ty”) oraz oglądaniu ekranu kontrolnego w telewizorze. Jego nastawienie zmienia się, gdy sobie golnie lub wypije mocną kawę. Alkohol bardzo go relaksuje i skłania do śpiewania utworów tak porywających jak np. *Zawsze gdy mam smutny czy Pieśń o wesolej salacie śledziowej* (Immer



wenn ich traurig bin, Das Lied vom lustigen Heringssalat). Espresso zaś czyni go niebywale nadpobudliwym i wpędza go w potworny słowotok. Znaczek z Berndem zaprojektował Sebastian König z Hamburga. Wymiary pojedynczego waloru i całego arkusza, rodzaj papieru, na jakim je wydrukowano, technika druku, drukarnia, a nawet data premiery, są identyczne jak w znaczkach z Wonder Woman.

Poczta Polska, choć w kwestii doręczania przesyłek ostatnio wyraźnie nie nadąża za potrzebami obywateli, to spisała się, jeśli chodzi o fantastyczne emisje filatelistyczne. Wypuściła bowiem 27 października 2025 r. piękny blok z czterema znaczkami, z których każdy przedstawia jedno z dzieł Wojciecha Siudmaka, artysty znanego chyba każdemu miłośnikowi fantastyki.

Energia (z roku 1994) – jest dynamiczną prezentacją ruchu i siły, w charakterystycznej dla Siudmaka stylizyce. Drugi znaczek, *Chwila*

bezruchu (z roku 1990) – łączy nastrój kontemplacyjny z przesłaniami symbolicznymi. *Energia bawiąca się elektronem* (z roku 1984) – zawiera w sobie podkreślony w tytule element radosnej zabawy połączony z tematyką naukową. *Wieczna Miłość* (z roku 1985) – zdaje się być alegorycznym przedstawieniem miłości wykraczającego poza przestrzeń i czas. Każdy z walorów ma nominalną wartość 5,80 PLN, a ich wymiary to 5,1×7,9 cm. Cały blok ma wymiary 14,9×21,5 cm, a wydrukowano go offsetowo na papierze fluoroscencyjnym. Nakład bloków wynosi 80 tysięcy egzemplarzy. Tę zaiste fantastyczną emisję uzupełniają dwie koperty FDC (*First Day Cover* – koperta pierwszego dnia obiegu), ozdobione grafiką Siudmaka – *Spotkanie dwóch brzegów* (z roku 2008). Każda z kopert (format 20,7×14,9 cm) jest oklejona innym zestawem pary znaczków i ostemplowana okolicznościowym datownikiem z tytułem emisji, miejscem jej wprowadzenia oraz faksymile podpisu artysty ■



Depresyjni kosmici

Planeta Xanaxa-5, knajpa dla depresyjnych kosmitów:

Upierzony Grypianin rechotał jak opętany.

— Na pieczone karamuchy — wykrztusił, walcząc z głupawką. — Serio twierdzicie, że na jednej z planet są pozbawione sierści inteligentne małpy?

— Na Ziemi — potwierdził Covidianin.

— Dmuchawicę se ze mnie robicie? — nie dowierzał.

— Mogę potwierdzić — wtrącił się Szarak. — Ale nie są tacy znowu inteligentni. Myślą, że mamy wielkie czarne oczy, a to przecież soczewki.

— Serio? — gdał upierzony.

— No, przecież powiek nie mamy. Bez nich bez przerwy owady nam do oczu wpadały.

— Ach, mieć taki wabik na jedzenie — rozmarzył się Grypianin.

— Słuchajcie — ożywił się Covidianin. — A może byśmy tak strzelili sobie sweet focie i wystali ją na Ziemię?

Dlaczego ludzie wyginęli

Wszystko wskazywało na to, że ludzie wyginęli.

— No, chyba przesadziliśmy z tymi covidami, panowie. — Zmartwiony kosmita podrapał się nerwowo po prążkach na głowie.

— Słyszałem, że wyginęli z powodu jakiegoś tiktoka, cokolwiek to jest — odezwał się jeden z jego kompanów.

— Oni ogólnie byli jacyś tacy słabowici. Rzadko który był w stanie sześciopaka zrobić, a co dopiero, jakby na mózgowni mieli wyrzeźbić prążki na głowie...

— Nic tu po nas. Zbierajmy się — przerwał mu przywódca i aż westchnął na wspomnienie starych dobrych czasów, kiedy to przed milionami lat ustalił z przywódcą małp, że podrasują je genetycznie.

Przekupił go wtedy kontenerem bananów.

Szczepili małpy, a później stali się ludzie.

Ci zwyrodnialcy Ziemianie

— Synek, lecimy na Ziemię — zakomenderował duży Szarak, wskazując na latający talerz. — Zapolujemy na jakąś krowę do naszego ranczo.

— Nie chcę...

— Ale dlaczego?

— Bo to rasiści, nazywają nas Szarakami.

— Żółtek, Zielenina, słyszeliście? — kosmita zwrócił się do palących hylek kumpli.

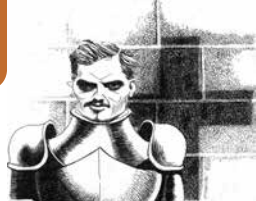
— Hm — mruknął jeden z nich. — Już od dawna mówię, że tym kosmicznym zwyrodnialcom z Ziemi trzeba w końcu skopać tyłki.

— To co, może jakaś wspólna inwazja w przyszłym cyklu? — zaproponował drugi i zachyrlotał dychawicznie.

— Panowie, spokojnie — uspokoił ich szarak. — My na nich jeszcze eksperymentujemy...

— Tato? — wtrącił się małpy Szarak. — A jakbym sobie wytatuował inny kolor na całym ciele, to przestaną na mnie wyzywać od Szaraków?



KORESPONDENCJA 166
JEDNYM OKIEM

Ostatnie tygodnie są dla mnie wyjątkowo męczące ze względu na nawalnicę zadań zarówno w pracy, jak i w działalności klubowej. Czuję się trochę jak Billy Pilgrim, który wypadł z czasu (nie ma co rumakować – *Rzeźnię numer pięć*, czyli *Krucjatę dziecięcą* Kurta Vonneguta znam tylko z adaptacji obrazkowych – widzianego dawno temu i słabo zapamiętanego filmu George’a Roya Hilla oraz świetnego komiksu Ryana Northa i Alberta Monteysa). Nie byłem w stanie dokończyć żadnej lektury, aby przereobić ją w tym numerze „Informatora” na kolejne Okruchy, a do komiksów, które przeczytałem latem (wspomnianej adaptacji *Rzeźni...* oraz *Nowego wspaniałego świata* Aldousa Huxleya w ujęciu Freda Fordhama), nie znalazłem wystarczająco atrakcyjnego klucza (czy chociażby zgrabnego wytrycha) – nie będę się więc siłił na wydumane interpretacje. No może poza jedną uwagę: Vonnegut, pisząc swoją antywojenną powieść, sięgnął po fikcję fantastyczną, która idealnie oddała grozę i bezsens ogólnościowego zbrojnego konfliktu. Przypomina mi to spostrzeżenia Johna Gartha na temat relacji między okopowymi doświadczeniami Johna R. R. Tolkiena a jego twórczością fantasy oraz tym, jak znakomicie się ona przysłużyła opisaniu tego wszystkiego, co spotkało uczestników walk w latach 1914–1918 (por. J. Garth, *Tolkien i pierwsza wojna światowa. U progu Śródziemia*, Poznań 2020, s. 400–401). Zatem fantastyka, wbrew obiegowym opiniom, to taka odmiana fikcji, która jest w stanie udźwignąć opowieści na temat najpoważniejszych zagadnień – i nie ma się co wstydzić, jeśli ma się ku niej słabość.

Powymądrzawszy się nie na temat, muszę jednak przejść do sedna, którym tym razem będą wrażenia związane z filmami i serialami podejrzanymi przeze mnie w trakcie prac nad klubowymi publikacjami.

Na początek **1670. Sezon 2**. Przyznaję, że nie rozumiem fenomenu popularności tego serialu. Jest on, co prawda, chwilami nawet zabawny i reprezentuje poziom ciut wyższy od typowych polskich produkcji kabaretowych, ale to zdecydowanie za mało na zachwyt, z którym się spotyka. Podobno, przez swą antyestabliszmotowość, uznawany jest za pisowski (powinien więc odbiorcę takiego jak ja zachwycić, a jednak nie zachwyca). Mój problem z nim sprowadza się do tego, że kpienie z kultury sarmackiej mam za antypolskie i traktuję jak szarganie największych narodowych świętości. Sarmaci rzeczywiście doprowadzili do sytuacji, w której sterowanie narodową nawa okazało się niemożliwe i okręt Rzeczypospolitej Obojga Narodów roztrzaskał się ostatecznie o skały historii, które wyrosły przed panami braćmi. Trzeba jednak pamiętać o ich bezprzykładnym poświęceniu dla ojczyzny, o stawianiu przeciw najeźdźcom na każde jej zawołanie i budowie inkluzywnej republiki, która nie prowadziła podbojów, rozrastając się głównie za sprawą podpisywanych traktatów z tymi, którzy chcieli brać udział w realizacji tego idealistycznego projektu. Prawda, że obywatelami Rzplitej byli jedynie urodzeni, a los chłopów pańszczyźnianych nie był wiele lepszy od niewolnika, ale przecież poddaństwo chłopów nie stanowiło w tamtych czasach wyłącznie polskiej

specjalności (inkluzywność sarmackiej kultury oznaczała także możliwość awansu do stanu szlacheckiego wybierających się przedstawicieli żywiołu nieherbowego). Nie sposób jednak nie wspomnieć, że te słynne nieludzkie obciążenia pańszczyźniane stały się tak naprawdę dotkliwe dopiero wtedy, gdy na Europę spadła tzw. mała epoka lodowcowa (okres ochłodzenia klimatu między 1600 a 1850 rokiem). Panoszący się wówczas w Europie Zachodniej i Północnej głód stał się rozsądnikiem licznych wojen, a kraje takie jak Polska – będąca spichlerzem Europy – stały się łakomym kąskiem dla sąsiadów (przypomnijcie sobie jedną z pierwszych scen *Potopu* Jerzego Hoffmana, kiedy dowódcy szwedzkiej armii brodzą po pachy w bujnych łąkach zboża, rozkoszując się tym widokiem). W połowie wieku XVII Polska tocząc wojny z rosnącymi potęgami turecką i rosyjską, a także ze Szwedami (niechęć Sarmatów do tej plagi 1670 oddał akurat świetnie), straciła ogromne połacie swojego terytorium (przede wszystkim zaś pozycję suwerena wobec Prus Książęcych), pogrzebała ponad 40% swoich mieszkańców, a z posiadanych przez nią aktywów gospodarczych wyparowała co najmniej połowa. Po takich ciosach los kraju był już przesądzony, a jego upadek – tylko kwestią czasu. Mimo to, w 1683 roku Polska po raz ostatni zdobyła się jeszcze na wojenny wysiłek i wzięła, za bezdurno, udział w antytureckiej krucjacie (jedyna korzyść z tego była ponoć taka, że po rozbiorach sułtan turecki lubił wkurzać moskwicińskiego ambasadora pytaniem, czy przybył już poseł z Lechistanu, a na protesty carskiego wysłannika, że nie ma takiego kraju – odpowiadał, że nic mu na ten temat nie wiadomo). Zresztą nie tyle zwyczajni Sarmaci doprowadzili do upadku swój kraj, co magnaci, z których każdy chciał być równy królowi i korumpował na potęgę ubożających szlachetków (ich spustoszone przez wojny i zmiany klimatyczne folwarki

przestały zapewniać im samodzielny byt i musieli się podwieszać pod tych, którzy mieli jeszcze jakiś pieniądź; nie sposób też zapomnieć o agentach wpływu sąsiednich mocarstw kupujących przychylność obywateli hojnymi grantami). Stąd np. *liberum veto* (demokracja szlachecka opierała się na jednomyślności, więc jeden głos sprzeciwu wystarczał, by zerwać sejm; jeśli dziś ktoś szantażuje politycznych przeciwników koniecznością zachowania wspólnego frontu wobec jednego tylko z wrogów naszej państwowości, działa tak naprawdę na szkodę Polski). Dlatego nie mogę się pogodzić z niesprawiedliwą, w moich oczach, i przeszarżowaną satyrą na Sarmatów (choć przecież nie brakuje wśród bohaterów tego serialu także postaci szlachciców i szlachcianek o pozytywnym nastawieniu do warstw nieuprzywilejowanych). Zresztą, w sezonie 2., jeszcze bardziej niż w 1., widać, że jest to nie tylko satyra na leniwych panów, ale krytyka korporacjonizmu, podobna jak w innym Netfliksowskim serialu *Norsmen*.

Czy fan fantastyki znajdzie w *1670* jakieś treści dla siebie? Jeśli nie liczyć opętanego Bogdana (bogatego i umytego), z którego diabeł wylezie z całą mocą w odcinku 7. (*Kraków*) – najbardziej fantastycznym pozostaje epizod 5. (*Gusła*). To w nim pojawia się m.in. przypominająca indiańską szamankę Baba Jaga, leśna rusalka, której nie udaje się uwieść Jana

Kadr z serialu *1670*, Sezon 2, Netflix 2025

Pawła Adamczewskiego, mimo że ubrana jest wyłącznie we włosy i liście, wiedźmin Gerard z Rumi (napiętnowany przez noszony przez siebie męski kitek – to bardzo wyrafinowana gra z inną Netfliksowską produkcją), a także festyn, którego główną atrakcją ma być palenie na stosie wiedźm (czyli... starych bab, a zatem takich, które przekroczyły... 35. rok życia). Do samosądu jednak nie dochodzi, bo pojawiają się wysłannicy prawa i uwalniają podejrzane kobiety od nie do końca niedorzecznej (jak się potem okaże) kary, bo Polska to przecież kraj bez stosów. Jeśli dodać do tego sypiącą się przez cały odcinek z jednego z bohaterów sól (minerał wykorzystywany do wielu magicznych obrzędów) – to otrzymamy naprawdę przyzwoitą opowieść fantasy. Odcinając się więc od historycznego tła tej produkcji i nie zważając na to, co mnie tak w nim irytuje, można się przy nim bawić nawet i fantastycznie.

Filmem *stricte* fantastycznym, który udało mi się w tym żmudnym dla mnie czasie obejrzeć,

był **Frankenstein Guillermo Del Toro**. Co tu dużo gadać – mimo napastliwej promocji, nie okazał się on dla mnie obrazem jakoś szczególnie atrakcyjnym. Owszem, na pierwszy rzut oka niedoszłemu reżyserowi *Hobbita* udało się stworzyć niebanalną plastycznie wizję tego romantycznego dramatu, ale im dalej w las, tym się CGI coraz bardziej nie sprawdzało, aż doszło do sceny napaści wilków na zagrodę, w której chroniło się Monstrum, i czar przysł. Mimo to dooglądałem film do końca i muszę przyznać, że w pierwszej chwili byłem zbudowany jego chrześcijańską wymową. Umierający Victor Frankenstein zrozumiał swój grzech – i pragnąc pogodzić się ze światem – błaga stworzoną przez siebie istotę, by nie szła jego bezduszną drogą i poświęciła się innym, odwrotnie niż on poświęcający innych dla własnych celów. Potwór wybacza swemu kreatorowi i wygląda na to, że przyjmuje jego naukę. Co więcej, wysłuchujący doktora kapitan arktycznego żaglowca, równie jak Victor opętany ideą, tyle



Kadr z filmu *Frankenstein*, reż. Guillermo del Toro, Netflix 2015

że dotarcia do Bieguna Północnego, także zawraca ze swojej drogi, uświadomiwszy sobie, że jego upór opłacany jest życiem służących pod nim marynarzy. Dobro zatem zwycięża, a ci, co przeżyli, będą żyć długo i szczęśliwie. Zastanowiwszy się jednak nad tym przesłaniem, przestałem widzieć tę produkcję tak kliwie i różowo. Dlaczego potwór stworzony przez człowieka okazuje się być może niezbyt ładny, ale fizycznie niezwykły, praktycznie nieśmiertelny, dobry z natury i oddany innym ludziom, a śmiertelnicy są egoistyczni i dla realizacji własnych celów zdolni niszczyć nawet własnych dobroczyńców? Czy nie słychać w tym przesłaniu chichotu Złego (w końcu Victora do jego szaleństwa pchnął Anioł Ciemności – Szatan, Lucyfer, Nieprzyjaciół; to, że się diabłu do końca sztuka nie udało, to efekt przekleństwa Fausta), który pragnie wmówić ludziom, że ich Stwórca jest jakiś nieudacznik, a dopiero oni mogą siebie zredefiniować na nowo. Być może posuwam się w swojej interpretacji niebezpiecznie daleko, ale nic na to nie poradzę, że takie myśli kołają mi w głowie po obejrzeniu nowego wcielenia *Frankensteina*.

Piotr Gociek, rozmawiając o tym filmie na jutubowym kanale Się Zobaczysz z Łukaszem Adamskim, użył stwierdzenia, że każde pokolenie ma swój antynuklearny obraz. ***Dom pełen dynamitu* Kathryn Bigelow** nie jest jednak obrazem równie sugestywnym co *Nazajutrz* (USA 1983), który puszczony w polskiej telewizji ok. roku 1985 nastraszył mnie tak potężnie, że do dzisiaj na grzmot zbyt nisko lecącego odrzutowca czy nagły rozbłysk światła (np. odbitego od szyby z bloku naprzeciw) na chwilę tężeją mi wszystkie mięśnie, bo wydaje mi się, że wojna jądrowa właśnie się zaczęła. Nie był to jednak obraz SF, ale katastroficzny. My fani też mamy z tamtego czasu swój film z groźbą atomowej konfrontacji o wymiarze globalnym w tle – chodzi oczywiście



Kadr z filmu *Dom pełen dynamitu*, reż. Kathryn Bigelow, USA 2025

o *Gry wojenne* z Matthew Broderickiem (USA 1983 – a jakże). Bigelow nie zależy jednak na epatowaniu obrazami jądrowych eksplozji i zniszczeń przez nie zadawanych; skupia się na kwestiach politycznych i wojskowych związanych z podejmowaniem decyzji o wykonaniu uderzenia odwetowego przez zaatakowane bez ostrzeżenia przez tajemniczego wroga Stany Zjednoczone. Śledzimy zatem zachowanie członków różnych gremiów odpowiedzialnych za to, czy w ramach odpowiedzi na zdradziecki cios nie podjąć decyzji o wysłaniu świata do diabła. Jako dramat sprawdza się ten film nawet-nawet, ale brakuje mu pazura i nawet zegar z uciekającym czasem nie chwyta za trzewia tak, jak widok startujących amerykańskich rakiet w *Nazajutrz*.

Heweliusz Jana Holoubka był właśnie tym serialem, który – jak w tytule – zacząłem oglądać jednym okiem, by w połowie sezonu odłożyć inne zajęcia i śledzić fabułę na pełny już etat. Rzadko się widuje tak dobrze zrealizowany serial, który – mimo tego, że z grubsza wiadomo, co się wydarzy – ogląda się z przejęciem i czeka na każdą następną scenę. Ale ponieważ nie znalazłem tam nawet śladowych pierwiastków fantastyki, zostawię Was wyłącznie z moją rekomendacją – obejrzenie ten serial koniecznie. Warto! ■

Wasz wielkokacki korespondent

MICHAŁ BLEJA

WOLNIEJ – A CIEKAWIEJ

Zielony Mars Kima Stanleya Robinsona jest sequelem. Sequele filmów są przeważnie słabsze od oryginałów – ale książek niekoniecznie; dlatego zdarza mi się przeczytać cały cykl, mimo że część pierwsza nie urwała mi tyłka. Pierwszy tom tego konkretnego cyklu całkiem niedawno recenzowałem na łamach „Informatora” (nr 413), więc zainteresowanych odsyłam do tego właśnie tekstu, dla niezainteresowanych natomiast – uznałem książkę za ciekawą, ale miejscami nudną, czyli innymi słowy średnią.

Druga część natomiast, choć jeszcze bardziej opasła niż pierwsza, została przeze mnie dosłownie pochłonięta. Autor zdecydowanie dopracował swoją metodę. Przeczytał swoje dzieło, po czym zastanowił się, co działa a co nie. Nie każdy twórca to robi, choć to prosty i oczywisty sposób na podniesienie jakości swojego rzemiosła. W efekcie otrzymaliśmy opowieść utrzymaną w sensownym rytmie i o wiele rzadziej stawiającą czytelnikowi opór niż część pierwsza.

Mimo że *Zielony Mars* na każdym kroku odwołuje się do wydarzeń z części pierwszej – stanowi osobną historię. Znajomość *Czerwonego Marsa* nie jest więc obowiązkowa, choć oczywiście przyda się, żeby zrozumieć kierunek, w jakim ewoluują postacie i ich relacje. Katastrofa wieńcząca część pierwszą stanowi coś na kształt cezury pomiędzy epokami. Marsjańska społeczność startuje praktycznie od nowa, dysponując jednak całą masą doświadczeń i poczynionych wniosków, dzięki czemu wydarzenia tej epoki nie są aż tak dramatyczne jak w *Czerwonym...* Co na szczęście nie oznacza, że jest nudno.

Widać tu optymizm autora wobec ludzkiej natury, ale również sceptycyzm wobec technokracji i korporacyjnych ideologii, które z jednej strony napędzają rozwój, a z drugiej premiują chciwość, nieuchronnie potęgując konflikty. Marsjanie znów dążą do rewolucji, która ma na celu uzyskanie autonomii od macierzystej planety, jednak tym razem nie tylko czynnie o nią walczą, ale również uważnie obserwują sytuację i czekają na najlepszy moment do działania. Postawa ta nie jest powszechna – powściągliwość przedstawicieli pierwszej setki osadników konfrontuje się z zapalczywością młodego pokolenia, które

wydarzeń z *Czerwonego Marsa* nie pamięta. Pokoleńowy konflikt jest przedstawiony w sposób bardzo przekonujący. Już w pierwszej części cyklu widać było, że Robinson umie w socjologię – i wygląda na to, że na użytek drugiej nauczył się w nią jeszcze lepiej.

Oprócz nauk społecznych autor, podobnie jak w *Czerwonym...*, z lubością odwołuje się do nauk przyrodniczych; z tym że, o ile w części pierwszej główną bohaterką była geologia, tutaj najważniejsza jest biologia. Na Marsie istnieje już atmosfera,

warunki zmieniły się na tyle, że na powierzchni planety rozwijają się fauna i flora, po części spontanicznie. Proces terraformacji postępuje; okazuje się jednak na tyle złożony, że na każdym kroku zaskakuje swoich projektantów.

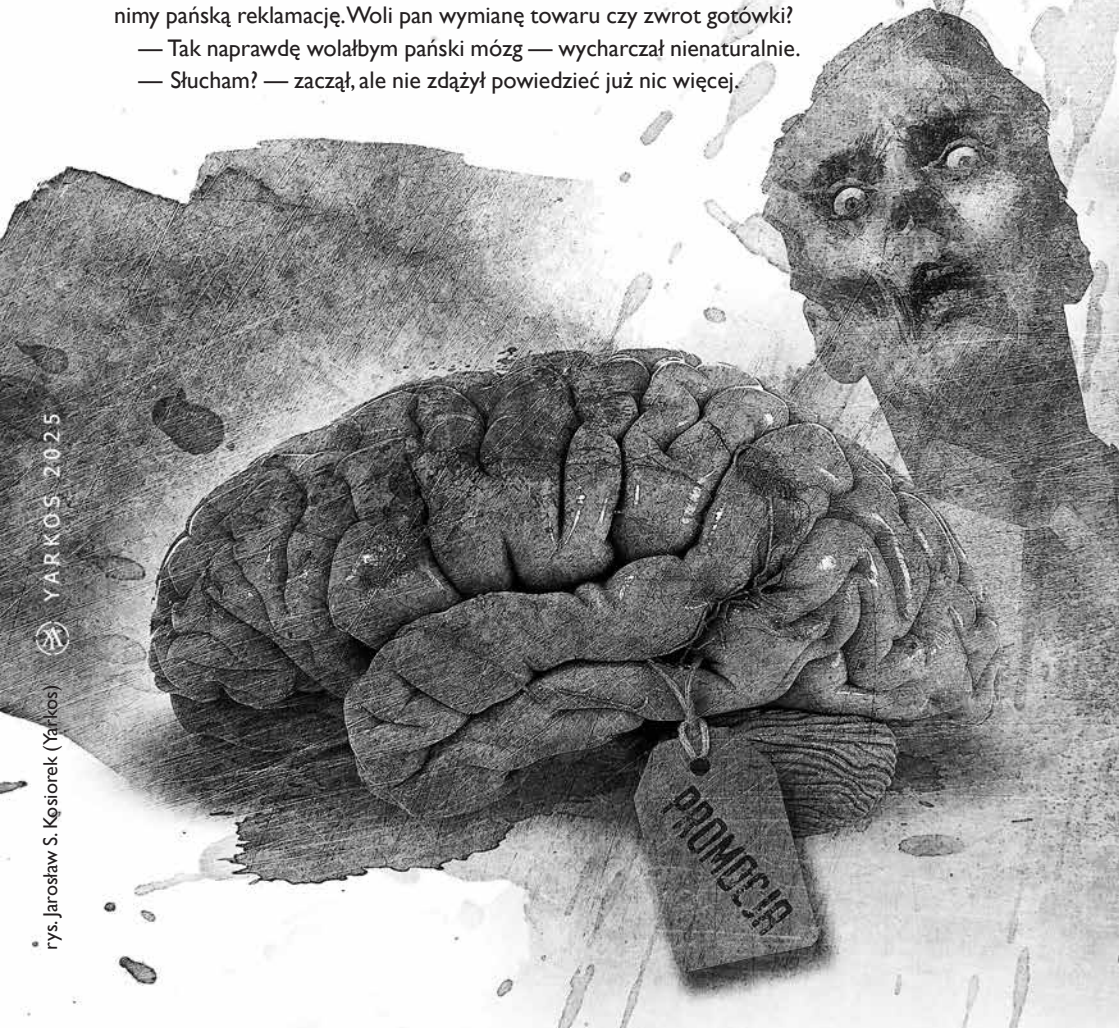
W *Zielonym Marsie* manifestują się jednak nie tylko wiedza, ale również poglądy autora. Słyszałem niedawno opinię, że pisarze s-f z definicji ustawiają się światopoglądowo w opozycji do mainstreamu, dlatego np. wśród starszych (pamiętających komunę) polskich fantastów dominują poglądy prawicowe, wśród Anglosasów natomiast – lewicowe. Myślę, że to przesadne uogólnienie, ale coś w tym jest. Pomysł Robinsona na organizację marsjańskiej ekonomii są tak odległe od neoliberalnego paradygmatu, że prof. Balcerowicz mógłby przez nie zaiste dostać zawału. Dla jednych ten aspekt *Zielonego Marsa* będzie odświeżający, dla innych irytujący. Dla mnie osobiście był po prostu interesujący na tyle, żeby go odnotować.

Zielony Mars jest powieścią dojrzalszą od swojej poprzedniczki. Paradoksalnie, mimo mniejszej intensywności, czyta się ją o wiele lepiej. Na mojej półce w kolejce czeka już zamykający trylogię *Błękitny Mars* – o którym zapewne wkrótce również napiszę ■



YORICK
Kup trupa

- Dzień dobry, chciałbym zgłosić reklamację...
- Nie bardzo rozumiem. Nie przyjmujemy zwrotów. No, bo niby na jakiej podstawie?
- Tym razem zachodzą pewne przesłanki, że towar był jednak wadliwy.
- Chętnie o nich posłucham!
- Otóż trup, którego kupiłem, jest żywy.
- Tak... Nie ukrywam, że to byłby pewien problem. Jest pan w stanie to udowodnić?
- Jak najbardziej — odrzekł z lekkim zadowoleniem i pokazał zabandażowane przedramię. — Ugryzł mnie w rękę.
- To doprawdy niefortunna pomyłka — zakłopotał się. — Oczywiście, czym prędzej uwzględnię pańską reklamację. Woli pan wymianę towaru czy zwrot gotówki?
- Tak naprawdę wołałbym pański mózg — wycharczał nienaturalnie.
- Słucham? — zaczął, ale nie zdążył powiedzieć już nic więcej.



ARTUR ŁUKASIEWICZ

PREDATOR: BANDLANDS – UPUPIANIE LEGENDY, CZYLI: CO ZROBIĆ, BY DORZE ZAROBIĆ

Jakieś dwa lata temu, kiedy dowiedziałem się, że mam być tym facetem z nożem*, żeby sobie przypomnieć, w czym rzecz, obejrzałem pierwszego Predatora. I trzeba przyznać, że – mimo upływu lat prawie czterdziestu – film daje radę i trzyma poziom. Oglądałem z ciekawością i w napięciu; tak, jakbym widział go po raz pierwszy – co raczej dobrze o nim świadczy.

Predatora 2, nagranych trzy lata później, zobaczyłem ponownie (pierwszy raz na którejś z pirackich kaset, trywialnie mówiąc w niezbyt dobrej kopii) parę dni temu. Dziś muszę powiedzieć, że też jest niezły, ale to zupełnie inna opowieść – bliższa w dużej mierze miejskiemu filmowi kryminalno-sensacyjnemu z elementami fantastyki (walki gangów, samotny glina szukający tajemniczego zabójcy). Ma

swoje głupotki i niedoskonałości, ale w ogólnym zarysie nie czuję jakiegoś krindżu.

Predators czy kolejne wcielenia tej serii filmowej aż do *Prey* kompletnie wyleciały mi z głowy i – wybaczenie – nic nie pamiętam.

Tak samo mam z serią filmów o *Obcych*. Cała wiedza i pamięć o tej serii kończą się u mnie na czwartej części; reszta (nawet *Pro-meteusz*) gdzieś dzwoni, ale kościół ten gdzieś tam hen za lasem stoi.

Znam komiks *Obcy kontra Predator*, ale to wszystko. Cały wykreowany świat, będący crossoverem dwóch multiversów, kompletnie jest mi nieznamy.

Dlatego mogłem pójść do kina na film *Predator: Bandlands* niczym *Tabula Rasa* – z otwartym umysłem i nie skażony jakimiś uprzedzeniami ani wizjami tego, jak i co powinno się wydarzyć.

I tu zdębiałem.

Żeby być uczciwym wobec tego, co zobaczyłem i ocenić ów film zgodnie ze swoim sumieniem – musiałem niespodziewanie mocno obniżyć poprzeczkę. Bo, jeśli miałbym ów film ocenić, porównując go nawet do troszkę niżej ocenianego przeze mnie *Predatora 2* – to rzeczony film nawet w swych szczytowych partiach nie sięga kolan wyżej wymienionemu. A po przyrównaniu go do filmu z Arnim – sięga co najwyżej kostek.





Kadr z filmu *Predator. Strefa zagrożenia*; reż. Dan Trachtenberg; USA 2025

Nie zrozumcie mnie źle: ten film, pomimo swych absurdalności i głupotek, które przecież były i w obydwu pierwowzorach, w swojej znacznie zaniżonej kategorii nie jest zły. No dobra, gdybym powiedzmy miał 13 lat – byłby nawet może przerażający, zabawny czy nawet przełomowy. Obejrany przez dzisiejszego mnie – jest gombrowiczowsko „upupioną wersją Predatora”. Przykrojoną do świata Disneya, wygładzoną; co nie znaczy, że nie dającą się obejrzeć „z przymrużeniem oka”.

Czy to dobrze? Jakaś część mnie buntuje się za tę „profanację”. Druga musi pochwalić za to, że film nie idzie na łatwiznę i spora część filmu mówiona jest w języku Yautja. Świat, w którym rozgrywa się akcja filmu – choć cuchnący z daleka *Avatarem* – ma swoje intrygujące pułapki. Choć pojawienie się małego Kaliska – który jest raczej miłusi, niżli groźny i pełni pewną rolę, o której wspomnę na końcu – wkurwia niemożebnie, bo jest archetypicznym „elementem komediowym” w tej historii. Sekunduje mu nieco irytujący półcyborg Thia, której przytyki i żarty śmieszą tak sobie. Półcyborg,

bo jej dolna część ciała jakoś tak została w legowisku Kaliska–Mamusi. Ciekawe więc, w jaki sposób pozostałość jej cyborgicznego ciała znalazła się tak daleko od reszty?

Jednocześnie moje ego łechta to, że cyborgi to nic innego jak produkt Korporacji Weyland-Yutani, znanej ze świata *Obcego* – co jednoznacznie łączy się z *Obcym* w jedno uniwersum. Choć serie komiksów uczyniły to już dawno, a w *Predatorze 2* wśród trofeów Predatora był szkielet *Obcego*, co wtedy było jedynie Ester–Eggim; tu jednak mamy już pełne potwierdzenie. Czy jest to zapowiedź kolejnych wojen *Obcych* z *Predatorami* – bo poprzednie dwa filmy, w których uczestniczyły obydwie rasy (z racji, że ich w ogóle ich nie pamiętam), musiały być gorsze niż serdelowa? Jeśli miałoby to być w konwencji PG-13 – lepiej to sobie darujemy. Jeśli zaś byłyby filmami dla dorosłych – to kto wie...

Dobra, ale nic nie napisałem o głównym bohaterze ani o innych Yautja występujących w filmie. Bohater Dek to jakiś wybrakowany małolet, który – by udowodnić swoją przynależność

do klanu – musi ruszyć na polowanie na rzeźzonego Kaliska (któremu nie dał rady jego, wciąż wkurwiony na niego, ojciec). Co jest motywem przewodnim do szczętu zgranym w tysiącach filmów. Swoją drogą nie mamy pojęcia, dlaczego staruszek tak bardzo jodłuje na syna i – gdyby tylko mógł – to dawno by mu skrócił żywot; a właściwie, mając możliwości, to czemu, do cholery, tego wcześniej nie zrobił?

Podoba mi się to, w jaki sposób działa Korporacja, w jaki sposób motywuje cyborgi do tego, by osiągnęły cel i dlaczego to robi. Tu sprawa jest klarowna i jasna.

Dobra: irytuje mnie też to, że – choć *Predator* jako istota jest mi znany – kompletnie nie znam ich struktury społecznej... Kto im produkuje te statki kosmiczne i dlaczego nie widzę gości z lubością odcinających głowy innym rasom, klnących z tego powodu, że zepsuł się im podzespół nadświetlnej? Choć Dek to małolat – jednak potrafi latać. A jeśli potrafi – kto i gdzie go tego nauczył? Co jedzą Predatorzy? (No nie, tego już zdążyłem się dowiedzieć; wprawdzie nie z filmu, tylko z filmiku na Y2be stworzonego przez psychofana komiksu, więc – cofam pytanie). Dobra, chodzi mi o to, że kompletnie nic o nich nie wiem, a film pozostawia mnie pod tym względem tak samo głupim, jak przed seansem. A nie! Na końcu zjawia się uzbrojona po zęby mamusia, ale wtedy nasz film się po prostu kończy; jednoznacznie dając do zrozumienia, że to po

prostu początek czegoś, co skończy się jako kolejna franczyza do sprzedania.

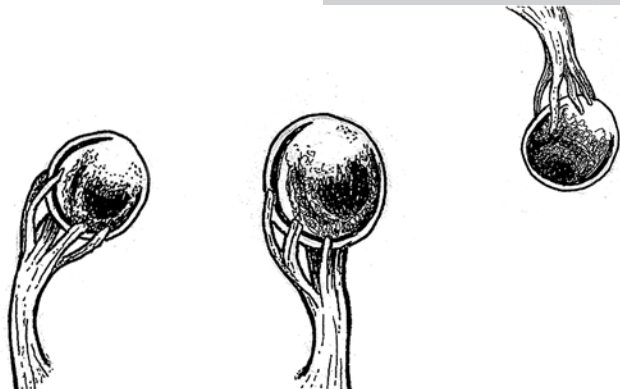
Bo właśnie. Wygląda na to, że film tak naprawdę – mimo pozytywów, które w nim dostrzegłem – jest stworzony po to, by pewnego dnia można było masowo sprzedawać kubki z podobizną nowej Wielkiej Trójki: Dek, Thii i Kaliska (o nieznanej tożsamości, a który jako małolat jest taki milusi, że mógłby być nawet „przysługą” dla dzieci do lat trzech). Natomiast ja, będąc starym jełopem, wiem, że jest właśnie taki milusi tylko z tego powodu, by rodzice na wyścigi wyskakiwali z kasy. Figurki, zeszyty szkolne, piórnik i grzeški z podobiznami tylko czekają na moment, kiedy okaże się, że film zarobił miliony dudków i czas zacząć masowe drenowanie rynku.

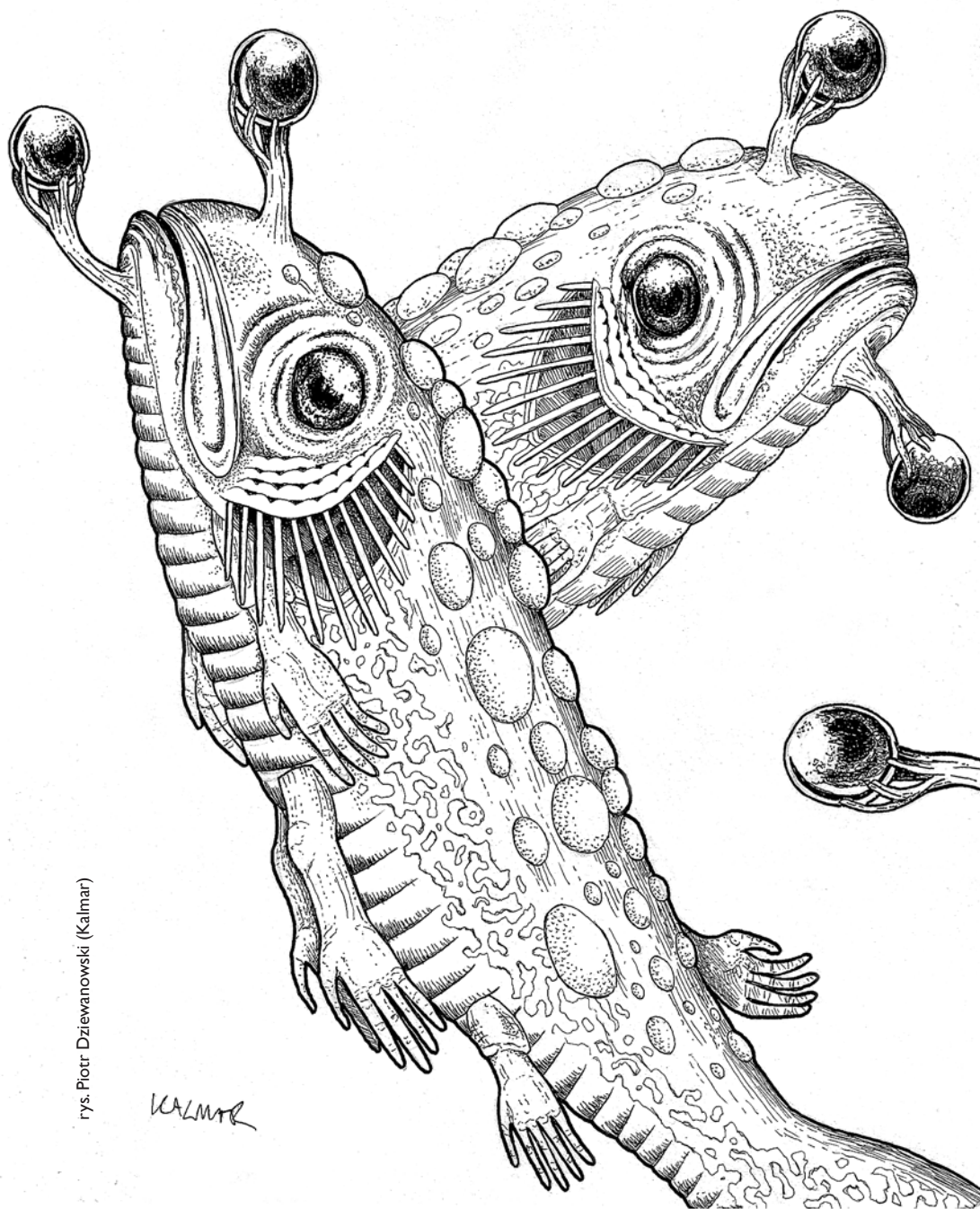
No to w skrócie.

- *Predator* z Arnim – to pożywny, krwisty befsztyk.
- *Predator 2* – to mielony, ale z dodatkiem dobrej whisky.
- *Predator: Bandlands* – cóż, to zgrabnie zapakowany MacZestaw, z dodatkiem wspomnianej już figurki Kaliska.

Smacznego! ■

*A, jeszcze gwiazdka – chodzi o pewien projekt graficzny, który (mam nadzieję) kiedyś w końcu ujrzy światło dzienne, gdyż czekam na to z utęsknieniem.





rys. Piotr Dziewanowski (Kalmar)

KALMAR

TOMASZ MAGULSKI (QRATOR) WCIAŻ BARDZIEJ OBCY

Próba odświeżenia franszyzy Obcy – to zadanie niełatwe. Widz ma wyśrubowane oczekiwania. Wysoko postawiona poprzeczka przez Obcego: Ósmego pasażera Nostromo oraz Obcych: Decydujące starcie okazuje się bardzo trudna do przeskoczenia. Nawet sam Ridley Scott miał z tym kłopot, realizując Prometeusza i Obcego: Przymierze. W 2024 roku do kin, a później do streamingu, trafił Obcy: Romulus. Wypadało zatem sprawdzić, jak reżyser Fede Álvarez poradził sobie z tym wyzwaniem.

Na wstępie warto ustalić kilka faktów. Jeżeli ktoś oczekuje tchnięcia nowego ducha we franczyzę, nowych pomysłów, które popchną tytułowego Obcego w zupełnie nowe obszary, ten się zawiedzie. Scenarzyści założyli bowiem, że akcja nowej odsłony rozgrywać się będzie pomiędzy zdarzeniami z filmów *Obcy: Ósmy pasażer Nostromo* a *Obcy: Decydujące starcie*. W pewnym sensie *Obcy: Romulus* stanowi łącznik między tymi oboma dziełami. Musi więc czerpać inspirację z obu oraz być z nimi niesprzeczny, tak aby zachować pewną logikę w uniwersum Obcego – i (moim zdaniem) to się udało.

Początkowym miejscem akcji jest dystopijna, przyprawiająca o melancholię górnicza planeta, której mieszkańcy żyją w koloniach i pracują całe życie dla koncernu Weyland-Yutani. Miejsce to oraz realia panujące w robotniczym środowisku poznajemy dzięki młodej dziewczynie o imieniu Rain (Cailee Spaeny), która za wszelką cenę usiłuje wydostać się z tej klaustrofobicznej planety. Towarzyszy jej Andy (David Jonsson) – android, który jest dla niej jedyną rodziną. Rodzice bowiem zmarli, ale przed śmiercią zaprogramowali dla niej Andy'ego, którego jedynym celem działania jest dbanie o dobro Rain.



Fragment posteru do filmu *Obcy: Romulus*

Wyrwanie się z górniczej kolonii uczciwymi metodami i w oficjalny sposób jest praktycznie niemożliwe; dlatego, gdy nasza główna bohaterka na spotkaniu z rówieśnikami otrzymuje propozycję ucieczki, po pewnych wahaniach się zgadza. Plan jest prosty. Młodzi ludzie przypadkiem namierzili na orbicie opuszczony, być może lekko uszkodzony, statek badawczy koncernu Weyland-Yutani. Gdyby udało im się niepostrzeżenie dostać na jednostkę, zaprogramować ją na lot ku najbliższej zamieszkałej planecie, a na czas podróży skorzystać z kriokomór, gdzie poddaliby się hibernacji – byłiby wolni. Od słów do czynu! Grupa młodych ludzi, wraz z androidem Andym, dostaje się na statek. Składa się on w zasadzie z dwóch połączonych ze sobą bliźniaczych jednostek o jakże odkrywczych i oryginalnych nazwach: Romulus i Remus. Nikogo chyba nie zaskoczę, jeśli powiem, że statek tak do końca nie jest opuszczony, ponieważ (dla widza od razu staje się to oczywiste) na jego pokładzie przewożono i badano obcą, nieznaną formę niezwykle agresywnego organizmu, jakim jest Xenomorf. Niespodzianką będzie natomiast, gdy powiem, że na pokładzie odnalazł się także całkiem spory i na dodatek działający fragment androida o imieniu/nazwie Rook (Ian Holm) – tak, tak, to ten sam model, który był przeciwnikiem Ellen Ripley w *Obcym: Ósmym pasażerze Nostromo*. Zresztą podobnych smaczków, stanowiących bezpośrednie nawiązanie do pierwszych filmów, dałoby się jeszcze wskazać co najmniej kilka.

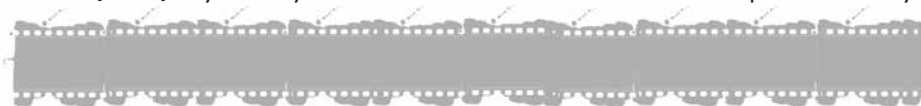
Dalej to już czysta klasyka. Pojawia się Xenomorf, który powoduje, że ucieczka młodych ludzi z górniczej planety staje się samotną walką o życie. W tym zakresie film

pełnymi garściami czerpie inspiracje z dwóch pierwszych filmów z serii. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre to: horrorowy klimat, świetna muzyka, znakomite efekty specjalne nawiązujące do „klasycznych” postaci Xenomorfów, Facehuggerów i Chestbusterów. Wszelchobecny półmrok, klaustrofobia i wrażenie beznadziejności. Minusem jest w dużej mierze przewidywalna akcja oraz momentami infantylne zachowania bohaterów.

W sumie – przez większość filmu mamy przyjemne wrażenie powrotu do starych, znanych, sprawdzonych i atrakcyjnych wzorców; ale nic ponadto. Akcja zyskuje na oryginalności w dwóch momentach. Po raz pierwszy za sprawą przemiany androida Andy’ego (do których w dużej mierze przyczynił się android Rook), dzięki czemu postać tego syntetyka zyskała nowy wymiar. Po raz drugi pod koniec filmu, kiedy to reżyser i scenarzyści wreszcie postanowili wyrwać się z okowów klasyki i puścili wodze fantazji. Od tego momentu konfrontacja z Obcym nabrała rumieńców i nareszcie potrafiła zaskoczyć widza.

Reasumując. Otrzymujemy atrakcyjne widowisko, czerpiące pełnymi garściami z klasyki, ale które klasyką raczej się nie stanie. Do tego potrzeba więcej twórczej inwencji i odwagi. A tak – mamy wciągający i świetnie zrealizowany film, który jednak nie wytycza żadnych nowych trendów w uniwersum Obcego. Z drugiej strony – może nie taki cel mu przyświecał. Bo jeśli chodziło o zagranie na czułej nucie nostalgii, nawiązującej do klimatu i estetyki klasyków serii, to zadanie zostało wykonane perfekcyjnie ■

Film *Obcy: Romulus* (ang. *Alien: Romulus*),
2024, platforma Disney+



TOMASZ MAGULSKI (QRATOR) AZJATYCKA NIESPODZIANKA

Jeśli chcemy przyrządzić smaczną potrawę – chętnie korzystamy z gotowego przepisu. Jest wiele książek kucharskich, które zawierają przeróżne warianty potraw. Do nas należy wybór jednego z nich. Reszta leży tylko i wyłącznie w naszych rękach. Na dziesięć osób korzystających z tego samego przepisu – udaną potrawę przyrządzić jedynie kilka z nich. Na dodatek potrawy nie będą identyczne w wyglądzie i smaku. Dlatego, że każdy kucharz będzie interpretował przepis po swojemu, a także dlatego, że przyrządzi potrawę na własnej kuchence i we własnych naczyniach. Istotny będzie także dobór produktów i przypraw. Dlatego mówimy o sztuce kulinarnej.

Podobnie jest ze sztuką filmową. Reżyserzy, scenarzyści i producenci na ogół wiedzą, z jakich elementów powinien składać się atrakcyjny serial SF.W praktyce jednak – wiedza to nie wszystko. Trzeba te elementy ze sobą zestawić, przypawić, a na koniec okrasić czymś wyjątkowym. Przepis znają wszyscy, ale dobry serial udaje się niektórym.

Przeglądając bogate zasoby platform streamingowych, natrafiłem na serial *Badacz snów*. Sądząc po „krzaczkach”, które zauważyłem na plakacie, domyśliłem się, że to przykład azjatyckiej twórczości. Postanowiłem skosztować tego egzotycznego dania.

Serial oglądałem w wersji oryginalnej z polskimi napisami, dlatego dosyć szybko zorientowałem się, że aktorzy używają języka chińskiego (mandaryńskiego). Do realiów Chińskiej Republiki Ludowej nie pasowały mi tylko pojazdy, budynki oraz sposób zachowania postaci serialowych. W takim razie uznałem, że może akcja dzieje się w Hong Kongu. Dopiero przy jednym z kolejnych odcinków okazało się, że akcja dzieje się na Tajwanie! A zatem po raz pierwszy oglądałem coś z rodzimej tajwańskiej kinematografii.

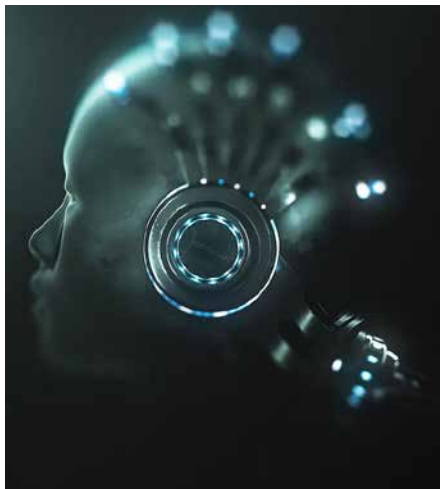
Akcja dzieje się współcześnie. Oficer policji Li Xiao (Weber Yang) otrzymał do rozpracowania bardzo dziwną i zagadkową sprawę kryminalną. Usiłując ją rozwikłać, szybko zdaje

sobie sprawę, że tradycyjne metody śledcze na nic się zdadzą. Ofiary są bowiem w stanie śpiączki, z której być może nigdy się nie wybudzą, a bez ich zeznań niczego się nie uda ustalić. Policjant przypadkowo dowiadyuje się, że istnieje pewien kontrowersyjny sposób, który ongiś opracował nie mniej kontrowersyjny, a obecnie skompromitowany naukowiec, który aktualnie odsiaduje wieloletni wyrok więzienia – Cheng Tian-Li (Shih-Hsien Wang), który być może mógłby mu pomóc. Nieodczowna będzie także pomoc młodej naukowczyny, ekspertki w dziedzinie neurobiotyki – Cheng An-Ya (Ellen Wu), która jest jednocześnie córką Cheng Tian-Li. To ta trójka, która początkowo darzyć się będzie wzajemną podejrzliwością oraz niechęcią, dzięki współpracy rozpocznie mozolne dokopywanie się do prawdy. Zadanie czeka ich karkołomne, ponieważ wygląda na to, że przestępca, którego szukają, potrafi wchodzić w umysły innych ludzi, niepostrzeżenie wpływając na ich pamięć, wspomnienia oraz świadomość. Idea ta, jak się okazuje, ma wiele wspólnego z pracami Cheng Tian-Li, który przed trafieniem do więzienia skonstruował wspólnie ze swoim ówczesnym współpracownikiem Mo Qi-Feng'em (David Yaoqing Wang) maszynę zwaną „Badaczem snów”, a która pozwalała wnikać w świadomość innych osób. Ich wspólna działalność skończyła

się wielką katastrofą, pożarem, ofiarami w ludziach, oskarżeniem – a następnie skazaniem Cheng Tian-Li na więzienie.

Dalej, przez całe osiem odcinków, oglądamy wartki i wciągający kryminał SF. Nie bez trudu, razem z naszą trójką bohaterów, w pocie czoła odsłaniamy kolejne sekrety tajemniczego przestępcy, który najprawdopodobniej na masową skalę steruje umysłami wielu osób, doprowadzając ich przy okazji (a może celowo) do samobójstw lub przestępstw. Sprawa cały czas się komplikuje. Pojawiają się nowe wątki, a zakończenie jednej drobnej sprawy od razu powoduje pojawienie się kolejnych. Akcja aż kipi od intryg i domysłów. Okazuje się, że wyjaśnienie sprawy może znajdować się w przeszłości i może być powiązane z dawną współpracą dwóch przyjaciół-naukowców: Mo Qi-Feng'a i Cheng Tian-Li.

Serial zaimponował mi bardzo konkretnym i przemyślanym scenariuszem, w którym bardzo istotny jest wątek naukowy – możliwość wniknięcia do umysłu, jaźni i wspomnień dowolnej osoby w taki sposób, aby nikt tego nie zauważył. Na szczęście od czasu do czasu mamy przerwany w postaci retrospekcji oraz osobistych perypetii głównych bohaterów. To pozwala złapać oddech przed kolejnym zanurzeniem się w meandry neurobiologii w poszukiwaniu rozwiązania zagadki kryminalnej. Co ciekawe: wątki osobiste oraz retrospekcje (czego z początku nie zauważamy) mają istotne znaczenia dla zrozumienia kto, dlaczego i po co doprowadza do zagadkowych śmierci oraz samobójstw. Akcja prowadzona jest logicznie i konsekwentnie, wymagając od widza skupienia. Nieraz jesteśmy zaskakiwani zwrotami akcji, które



Fragment posteru do serialu *Badacz snów*

zmuszają nas do przewartościowania swoich założeń oraz ponownej analizy – kto jest tym złym, a kto tym dobrym.

Krótko mówiąc – *Badacz snów* to jeden z najlepszych seriali SF, jakie oglądałem w ostatnim czasie. Ma on wiele atutów i tylko jeden minus. Jest nim zakończenie, które ewidentnie ma pozostawić widza w przeświadczeniu, że dalszy ciąg być może nastąpi. Zostawia też z niedosytem, że nie wszystkie wątki zostały definitywnie domknięte. A zatem, być może za jakiś czas, pojawi się sezon nr 2. Potencjał ku temu jest.

Chętnie zobaczyłbym dalszy ciąg – mam ochotę na więcej tego oryginalnego, azjatyckiego dania, przyrządzonego w atrakcyjny sposób na podstawie sprawdzonego przepisu na dobry serial SF, okraszonego szczyptą orientalnej oryginalności ■

Serial *Badacz snów* (oryg. *Lie meng te gong*), 2020, serial oryginalny platformy HBO MAX





YARKOS 2025



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

WREDNY CIEŃ ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

Zastanawiałem się czas jakiś, czy nie za wcześnie startuję z tym tekstem. Jednakże w handlu okres świąteczny zaczyna się już w listopadzie, a poza tym, kiedy czytacie te słowa, jest z pewnością grudzień. Przełamałem się więc – i oto macie przed sobą słów parę o horrorze bożonarodzeniowym *Krampus*.

Ów tytułowy osobnik (zdjęcie poniżej) jest postacią z folkloru austriacko-bawarskiego, swego rodzaju antymikołajem, który porywa niegrzeczne dzieci. Jest więc straszakiem ekstremalnym, w przeciwieństwie do dobrotliwego *Santy*, który co najwyżej grozi naszym milusińskim różgami. I to by było na tyle, jeśli chodzi o bezstresowe wychowanie najmłodszego pokolenia.

Filmowy *Krampus* posuwa się znacznie dalej niż jego pierwowzór, ponieważ przesładuje wszystkich, którzy nie czują ducha świąt Bożego Narodzenia (stąd polski podtytuł) – skazując ich na karę śmierci, z porwaniem do piekła na dodatek. A jeśli ktoś uważa, że to zbyt drastyczna kara, niech się lepiej nie wychyła, bo kto wie, co może mu się przytrafić...

Pierwsza scena filmu prezentuje wzajemne traktowanie się klientów w ramach świątecznej promocji, druga ukazuje przyjazd rodziny z licznym potomstwem do domu Engelów (to niemieckie nazwisko sygnalizujące rodowód *Krampus*), kolejne zaś przedstawiają wspólne biesiadowanie – pozbawione całkowicie ducha Świąt. No i nieszczęście gotowe.

Punktem zwrotnym jest podarcie i wyrzucenie przez okno listu do Mikołaja przez sfrustrowanego drwinami Maxa, syna gospodarzy. Gaśnie światło, zrywa się wichura, a *Krampus* i jego kompania szykują się do drogi. Pojawia się też na progu domostwa spory worek

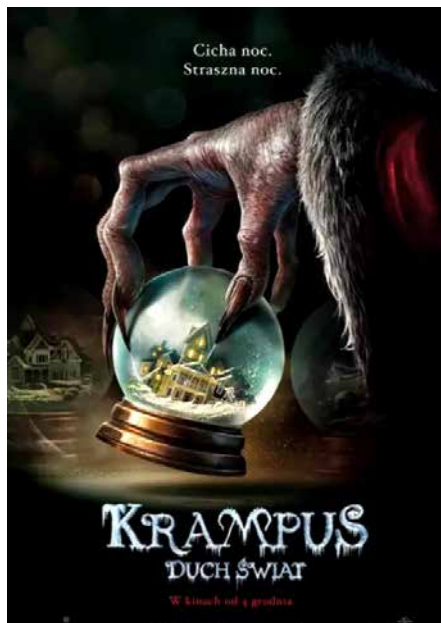
z (anty)prezentami, które są zabawkami o aparycji koszarnej i tandetnej jednocześnie, a naturze skrajnie agresywnej. Przyznam, że wywołały one u mnie początkowo pewną niechęć, która ulotniła się jakoś, gdy ponownie obejrzałem film na użytek tego tekstu. Ktoś w sieci przyrównał je do gremlinów – może i słusznie.

Przybycie *Krampus*a i jego demonicznej świty przybiera postać lokalnego kataklizmu obejmującego całą okolicę, z epicentrum w domu Engelów. Ci więc barykadują się i starają czuć z bronią w zasięgu ręki, z umiarkowanym skutkiem jednak, bowiem *Krampus*, jak łatwo zgadnąć, wejdzie do domu przez komin. No i rozpocznie się pandemonium...

Tymczasem jednak babcia Omi, mówiąca na co dzień tylko po niemiecku, przechodzi niespodziewanie na angielski i przekazuje reszcie rodziny, co jest jej wiadomo o *Krampusie*. A wiedzę na jego temat posiada całkiem sporą, gdyż miała wątpliwą przyjemność spotkać go w dzieciństwie. Zginęła wówczas cała jej rodzina, a demon pozostawił tylko ją przy życiu jako przestrogę dla innych.

Oczywiście, jak to zwykle bywa, mało kto wierzy w tę historię, nim zostanie zweryfikowana przez nieubłaganą rzeczywistość. Cóż, należało dokładać drwa do kominka, biorąc przykład z babci Omi, a nie spać sobie bez troski w złudnym poczuciu względnego bezpieczeństwa...

A kiedy *Krampus* przystępuje do ataku – wszystko dzieje się tak szybko, że często widz nie dostrzega, co właściwie ogląda. Za to uczestnicy wydają się mieć o wiele lepszą orientację, co czasem im



pomaga, ale najczęściej nie za bardzo. Ot, siła złego na jednego, a właściwie na jeden tuzin nieszczęśników.

To, co wyłania się z obserwowanego chaosu, jest na tyle efektowne, by widz mógł z satysfakcją zbierać szczękę z podłogi – co proponuję sprawdzić samemu. Tak więc, mimo początkowych oporów, polecam ten film jako wart obejrzenia. Natomiast nie polecam, kierując się ocenami widzów na FilmWebie, innych filmów o Krampusie, które zdobyły odpowiednio 1,0, 1,7, 2,7 oraz 1,9 punktów.

Wróćmy jeszcze na moment do germańskich akcentów, tym razem na płycie DVD, a nie w samym filmie. Otóż tłem muzycznym menu jest najśłynniejsza niemiecka kolęda, *O Tannenbaum*, którą poznałem w liceum na lekcjach języka naszych sąsiadów. Tak naprawdę nie jest to żadna kolęda, tylko pean na cześć choinki, która jest wiecznie zielona. Pytanie, czy jest to zgodne z duchem Świąt (i czy w związku z tym nieprzypadkowo Krampus

pojawił się w tamtym rejonie świata) pozostawiam z przyjemnością Czytelnikowi ■

Krampus. Duch Świąt (Krampus),

USA, 2015

ocena FilmWeb: 5,4, krytyków: 5,6, IMDb: 6,2

reżyseria: Michael Dougherty

scenariusz: Todd Casey, Michael Dougherty

gatunek: fantasy, horror; czas: 1 godz. 34 min.

Obsada: **Gospodarze:** Adam Scott (Tom, ocena 6,7), Toni Collette (Sarah, jego żona, 7,1), Emjay Anthony (Max, ich syn, 6,8), Stefania LaVie Owen (Beth, ich córka, 6,1), Krista Stadler (Omi Engel, matka Toma, 7,2)

Goście: Conchata Ferrell (ciotka Dorothy, 7,4), Allison Tolman (Linda, siostra Sarah, 6,2), David Koechner (Howard, jej mąż, 6,6), ich dzieci: Maverick Flack (Howard Jr.), Queenie Samuel (Jordan), Lolo Owen (Stevie), Sage Hunefeld (mały Chrissy)

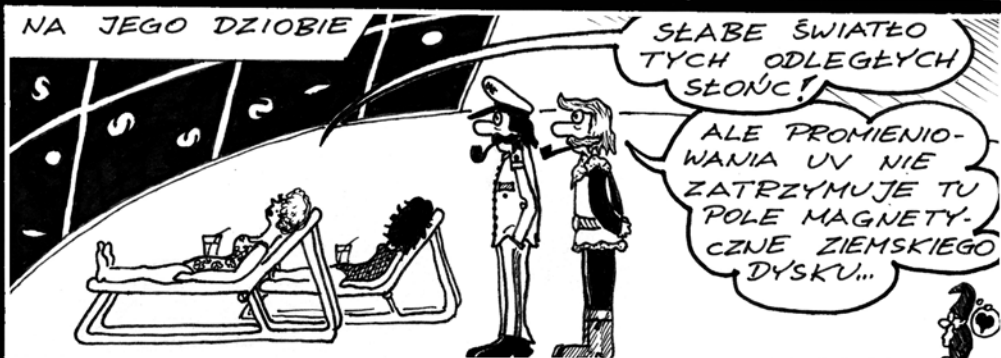
oraz: Luke Hawker (Krampus).

Poniższe zdjęcie maski inspirowanej postacią Krampusu: https://pl.wikipedia.org/wiki/Krampus#/media/Plik:Krampus_at_Perchtenlauf_Klagenfurt.jpg



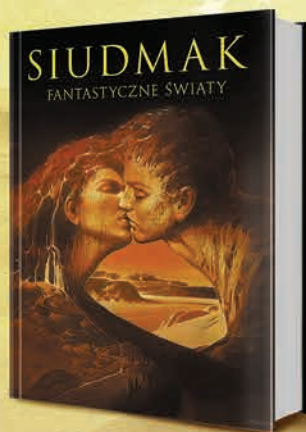
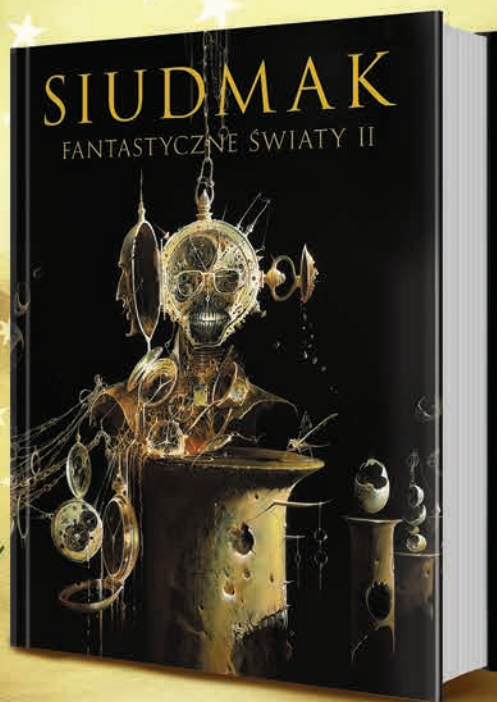
WYCIECZKA NA LATA (ŚWIETLNE) ¹³

SCEN. I RYS. JAN PLATA-PRZECHLEWSKI / NORDCON



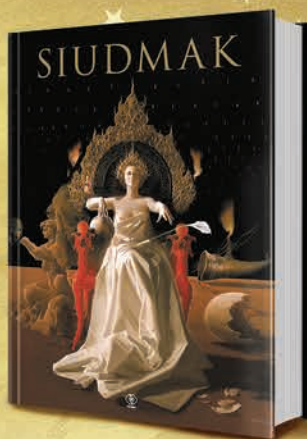


FANTASTYCZNE ALBUMY, IDEALNE POD CHOINKĘ!



Wybór prac (rysunków i obrazów)
pochodzących z kolekcjonerskich
wydań książek **Philipa K. Dicka**
oraz z uniwersum **DIUNY**

Magiczne światy
WOJTKA SIUDMAKA
sprawiają, że to co fantastyczne,
wkracza w rzeczywistość



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/DWREBIS



@dom_wydawniczy_rebis